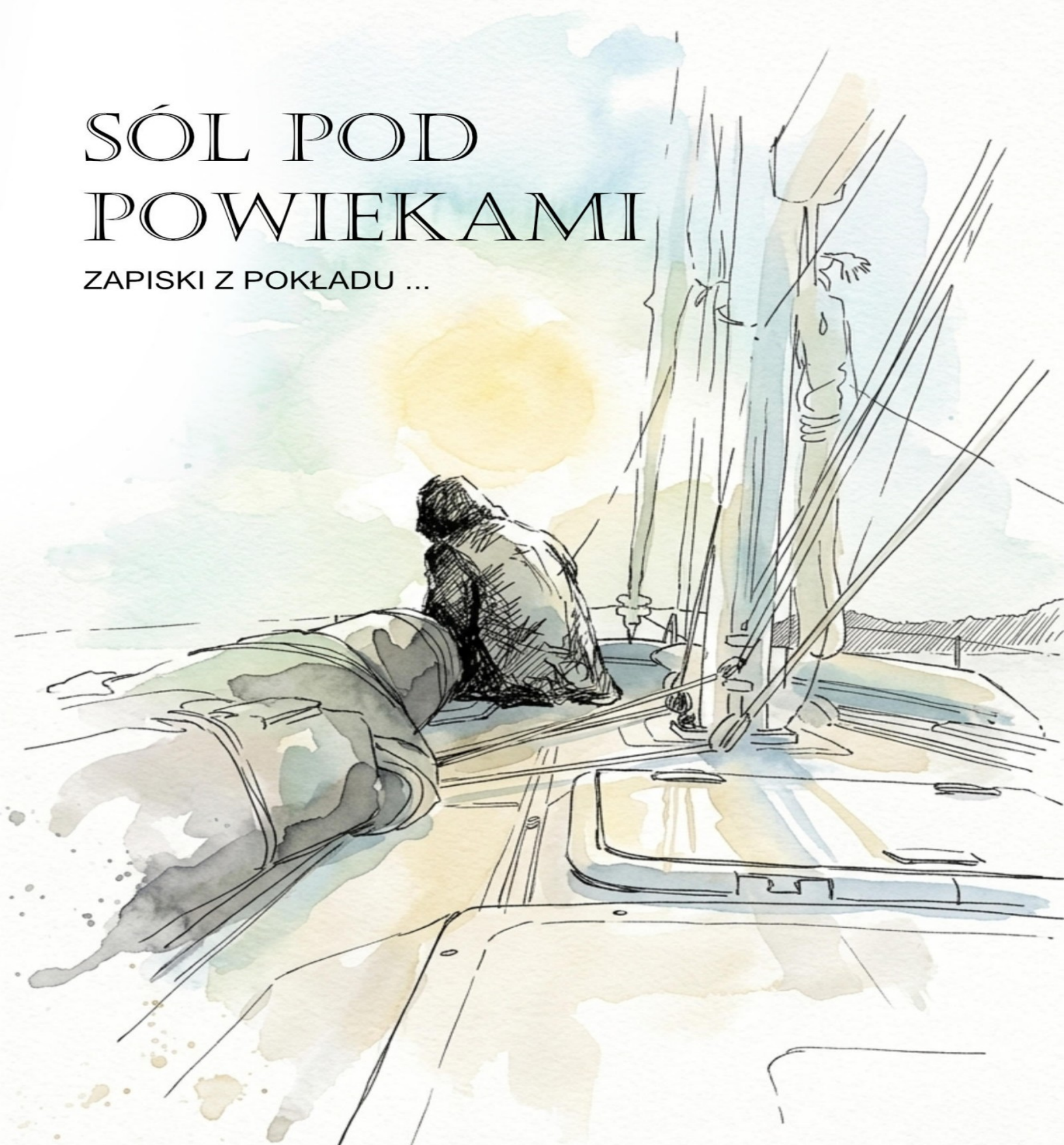


SÓL POD POWIEKAMI

ZAPISKI Z POKŁADU ...



Robert S Węgrzyn

Sól pod powiekami

Zapiski z pokładu ...

Robert S Węgrzyn

Prawa autorskie

© 2026 Robert S Węgrzyn. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemach wyszukiwania ani przekazywana w jakiegokolwiek formie ani za pomocą jakichkolwiek środków bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

ISBN: 978-83-980447-0-7

Spis treści

1. [Słowo wstępu](#)
2. [Pukanie](#)
3. [Młody](#)
4. [Robota](#)
5. [Lekcja](#)
6. [Zmysł](#)
7. [Prawdziwy facet](#)
8. [Maćka](#)
9. [Bakcyl](#)
10. [Nocka](#)
11. [Potwory](#)
12. [Plan](#)
13. [Czas](#)
14. [O autorze](#)

Słowo wstępu

Ten zbiór opowiadań to fabularyzowana podróż przez prawdziwe miejsca i zdarzenia. Choć swobodnie splatam ze sobą czas i przestrzeń, w każdej z tych historii starałem się ocalić to, co najważniejsze – autentyczny sens i ducha chwil, które przeżyłem osobiście lub zasłyszałem od innych przy szklaneczce rumu.

Chcę jednak postawić sprawę jasno: **to nie jest dziennik pokładowy ani literatura faktu**. Nieraz, gdy publikowałem swoje teksty, spotykałem się z komentarzami pełnymi fachowych porad, analizowania prawdy historycznej czy technicznej poprawności. Przyznam szczerze – wielce mnie to bawiło. Jeśli szukacie tu precyzyjnych namiarów nawigacyjnych, możecie poczuć się zawiedzeni. Jeśli jednak szukacie emocji i klimatu, jesteście w dobrym miejscu.

Nie jestem zawodowym skipperem. Nie pływam zarobkowo. Żeglarstwo to dla mnie jedna z wielu pasji, którą rozwijam we własnym tempie, bez niepotrzebnej presji. Choć za rufą zostawiłem już grubo ponad pięć tysięcy mil morskich i teoretycznie mógłbym ubiegać się o stopień kapitana, zupełnie nie o to w tym wszystkim chodzi. Jacht jest dla mnie bramą do przygody oraz kluczem do poznawania niezwykłych ludzi i miejsc, a nie narzędziem do udowadniania świata własnej wartości.

Moja metoda jest prosta: kiedy dzieje się coś ciekawego lub gdy czuję, że sytuacja ma w sobie „to coś”, sięgam po notatnik. Robię szybkie, surowe zapiski, by potem – w spokojne, zimowe wieczory – przelać te wspomnienia na papier i nadać im literacki kształt.

Mam nadzieję, że choć kilku z Was odnajdzie w tych historiach część siebie i poczuje autentyczny klimat morskiej włości.

Dobrej lektury i stopy wody pod kilem!

Robert



Krzyk mewy wyrwał mnie z błogiego stanu kontemplacji niczym niezmaconego horyzontu. Ponad dwadzieścia węzłów wiatru popychało naszą Bawarkę w zacnym tempie. Uwielbiam momenty, gdy nic się nie dzieje. Kiedy można spokojnie zachwycić się chwilą, nie mając nic więcej do roboty. Jednak ta sielanka miała się szybko skończyć.

– Idzie zło od północy – rzucił Dziadu, wychylając się z zejściówki. – Mamy parę godzin, żeby się ogarnąć.

Chcąc nie chcąc, ruszyłem cztery litery, aby zobaczyć, co się kroi. Wydawało mi się mało prawdopodobne, by zahaczył nas jakiś sztorm, jednak z pogodą nigdy nie wiadomo. Jedno spojrzenie na ekran komputera rozwiało wszystkie moje nadzieje. Od północnego wschodu zbliżał się front burzowy i wyglądało na to, że będzie chciał przeciąć nam drogę. Co prawda dopiero za cztery, no, może pięć godzin, ale jednak intencje złowieszczej bestii były już dla mnie oczywiste.

– Jak wykręcimy na północny zachód, może uda się smyrgnąć brzegiem frontu – rzuciłem pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy.

– Nie damy rady tak wyostrzyć – ocenił Jacenty, dysząc za moimi plecami. – Wiatr będzie wykręcał i zamiast uciekać, będziemy coraz bliżej.

W ramach pokładowego konsylium zaczęła się wykluwać strategia. Po niespełna piętnastu minutach udało się opracować plan, który wydawał się optymalny. Jednak, jak to mawiają: chcesz rozśmieszyć Pana Boga, to opowiedz mu swoje plany.

Dziadu uznał, że zanim zabierzemy się do przygotowań, warto by coś zjeść, bo potem może nie być czasu. Nikt z załogi nie oponował, ba, niektórzy nawet przyklasnęli temu pomysłowi.

– Jacenty, wkładaj obuw i idziemy trochę poprzesztawiać ten powóz – zarządziłem rzeczowo.

Zmiana halsu na pierwszy rzut oka mogła wydawać się trochę bez sensu. Powodowała, że trzeba było się cofnąć, jednak dawało to szansę na ominięcie sztormu. Po przerzuceniu gieni Jacenty zdecydował lekko ją zwinąć, tak na wszelki wypadek, i wtedy rozleciał nam się roler. Jednym słowem: maszyna, która odpowiadała za zwijanie i rozwijanie przedniego żagla. Dwie połówki bębna po prostu się rozpadły, wypuszczając kontrafał. Problem nie byłby duży, gdyby gienia była zwinięta. Całkiem inaczej sprawa wyglądała, gdy żagiel pracował, i to na dość dużej fali. Co było robić? Wykręciłem do pełnego baksztagu, by trochę odciążyć sztag, i zszedłem pod pokład po narzędzia.

Po trzydziestu minutach i wielu siarczystych wiąchach udało się poskładać maszynę do kupy. Może i była to prowizorka, ale taśma na gada nie pierwszy raz okazała się podstawowym narzędziem na jachcie.

– Będzie trzymać – stwierdził Jacenty, wypluwając resztki taśmy, którą urywał zębami.

Wróciłem na ostry kurs, by jak najmniej się cofać. Upewniwszy się, że nasze dzieło dobrze trzyma, zszedłem na dół sprawdzić, co z naszym pogodowym rywalem. Rzut oka na ekran i wszystko jasne: burza perfekcyjnie odczytała nasze zamiary i znów waliła wprost na nas. W tym czasie Dziadu zaserwował swoje słynne kotlety, więc usiadłem w mesie i, żując mięsiwo, rozpatrywałem scenariusze. Nawet nie zauważyłem, kiedy stanął nade mną Jacenty.

– Teraz już chyba nie zwiejemy – stwierdził z rezygnacją w głosie.

– Możemy jeszcze poskładać żagle i pociągnąć na katarynie – wypalił Dziadu. – Tym bardziej – dodał jakby z zawstydzeniem – że jakoś średnio wierzę w to wasze rozwiązanie z rolerem.

Popatrzyliśmy po sobie nieco skonsternowani, jednak chyba obaj zrozumieliśmy, że to jedyny sensowny pomysł.

Szybko skończyłem obiad i zabrałem się za obliczenia. Wychodziło na to, że płynąc pięć węzłów na silniku, mamy szansę ominąć burzę od drugiej strony. Kiedy wyłożyłem reszcie, jak to widzę, pozostało tylko zwinąć żagle i odpalić maszynę.

— — —

– Słyszysz? – spytał Dziadu, urzędując w pozycji horyzontalnej na deku.

– Coś puka – stwierdziłem.

Po spędzeniu odpowiedniej liczby godzin na jachcie, człowiek wie, które odgłosy są normalne, a które za diabła nie pasują do symfonii jachtowej. To jak fałszywy dźwięk w orkiestrze.

Rozpoczęły się nasłuchiwanie i poszukiwanie. Dobrze, że nikt nas nie widział, jak w dziwnych pozach przykładaliśmy uszy do kolejnych elementów nadbudówki.

– Definitywnie gdzieś w silniku – orzekł Jacenty. – Z prawej strony. Idę zobaczyć, czy coś się nie poluzowało, tylko zjedź z obrotami.

Kiedy Jacenty zaczął otwierać schodnię, zrzuciłem obroty na tyle, że płynęliśmy jakieś dwa i pół węzła. Po chwili znowu pojawiła się jego głowa.

– Zwiększ obroty! – krzyknął, próbując przekrzyczeć silnik.

Kiedy to zrobiłem, zniknął w czeluściach motoru.

– Znowu wali – mruknął Dziadu, doskonale wiedząc, że też to słyszę.

– Ten Yanmar tak się tłucze, że cholera wie, czy to w silniku, czy gdzieś obok – stwierdził Jacenty, znów wychylając się zza schodni,

by po sekundzie ponownie zanurkować w czeluściach.

Tym razem nawet Dziadu zaczął osłuchiwać nasz powóz. Systematycznie, centymetr po centymetrze, zrobił obdukcję całej prawej strony deku. W końcu wrócił Jacenty z niezbyt wesołą miną.

– Może to pierdoła, ale jak wjedziemy w burzę i kataryna się posypie, to będziemy w czarnej dupie – podsumował.

Miałem dokładnie takie same przemyślenia, więc jedyne, co mi przyszło do głowy, to w milczeniu pokiwać głową.

– Dobra. Nie wiem – z rezygnacją orzekł Dziadu. – Jednak proponowałbym lekko zmniejszyć obroty, to może ta cholera się nie urwie.

– Jak zwolnimy do trzech węzłów, to wpakujemy się w sam środek złego – stwierdziłem, szybko szacując sytuację.

– A jak pierdyknie w złym, to będzie jeszcze gorzej – z zadumą przypomniał Dziadu. – Jak się nie obrócisz, dupa z tyłu.

– Dacie sobie radę przez godzinę? – spytał Jacenty. – Bo tej nocy to spałem może ze dwie godziny. Jak ma się zacząć taniec, to może chociaż złapię komara?

– Idź, idź – rzuciłem. – Bardziej się przydasz potem wyspany.

Ślęcząc kilkanaście minut nad mapą i prognozą, wyliczyłem, że przy prędkości trzy i pół węzła jest szansa, że burza nas tylko trochę draśnie. No, może więcej niż trochę, ale nie powinno być źle.

Po niespełna półgodzinie Jacenty wynurzył się w zejściówce. Bez jakichkolwiek wstępów rzucił: – Przyspiesz do pięciu, to nie silnik. – I jakby nigdy nic wrócił do koi.

Popatrzyliśmy z Dziadem po sobie lekko zdziwieni. Ponieważ jednak to Jacenty był z nas trzech mechanikiem, podniosłem obroty tak, by nasza łajba goniła całe pięć knotów. Zaraz też zszedłem pod pokład sprawdzić, jak to zmieni naszą sytuację.

— — —

Okazało się, że diabeł nie taki straszny, jak go malują. Burza, poza niezłym spektaklem na światło i dźwięk, dmuchnęła zaledwie trzydzieści węzłów i to tylko przez pół godziny. Kiedy zostawiliśmy ją za rufą, na pokładzie pojawił się wyspany Jacenty z trzema kubkami kawy.

– No to panowie – zaczął – po szklanie i na rusztowanie. Nie będziemy jechać na katarynie, kiedy tak fajnie dmucha.

Dziadu, zdmuchując fusy z powierzchni kawy, spytał z zaciekawieniem: – Co się tłukło?

– Ktoś – zaczął z emfazą Jacenty – czyniąc poranne ablucje, zostawił słuchawkę prysznicową na blacie umywalki. Zapewne, jak rozrabialiśmy z rolerem, parę razy łajbą gibnęło i spadła na podłogę. Jak silnik wchodził na ponad dwa tysiące obrotów, to po prostu rezonowała. Ot, cała tajemnica – zakończył z miną inspektora, który z sukcesem rozwiązał zawiłą sprawę.

- Ale dzięki temu zwolniliśmy i udało się ominąć zło – dodałem.
- Wolniej jedziesz, dalej zajedziesz – skostatował Dziadu.
- A ty, Sherlocku, jak się wypałeś, to bierz się za ster – rzuciłem z udawaną wyższością.

Warszawa 1.06.2022



– Co, dlaczego?! Płyniemy i już! – wściekłość w głosie Adama mówiła wszystko.

— — —

Cienie stawały się coraz dłuższe. Jeszcze pół godziny temu staliśmy we trzech na kei z wędkami i wyciągaliśmy jedną bukwę za drugą. W żyłach wesoło krążył Tomislav. Właściwie cóż człowiekowi więcej trzeba do szczęścia? Ale musiało się spieprzyć.

Mali Iż nawet trudno nazwać mariną. Ot, kawałek pomostu, do którego z jednej strony przybija prom, a z drugiej rzucone są cztery muringi. Wioska to zaledwie kilkanaście domów, sklep, knajpa i może ze trzydziestu mieszkańców. Prawdziwa chorwacka osada rybacka. Rzeczony pomost to jednak idealny plac manewrowy. Można tu ze spokojem potrenować wszelakie warianty parkowania ciężarówką, przez niektórych nazywaną jachtem morskim. Po

godzinie jeżdżenia ktoś w końcu zakrzyknął: – Dość, idziemy na piwo!

Ponieważ skipper nie usłyszał protestów, zaparkowaliśmy i uderzyliśmy wprost do lokalnego sklepu, który swoim anturażem przywoływał w pamięci pegeerowskie GS-y z końca lat osiemdziesiątych. Z tym brakiem protestów to zresztą trochę przesadziłem. Mieliśmy na pokładzie jednego, którego ochrzciliśmy Młodym. Miał dwadzieścia kilka lat, a ambicja wylewała się z niego w dość uciążliwy sposób. Co chwilę zaczepiał kogoś, by sprawdzić, czy już „umie światełka”, albo zadawał znienacka pytania z locji i przepisów. Jednym słowem: przerost formy nad treścią. Uparcie twierdził, że zda egzamin na voditelja i od razu bierze żonę z dziećmi na jacht. Na nic zdawały się nasze uwagi, że sam papier to za mało. Że trzeba trochę praktyki, szczególnie gdy zamierza się samemu ogarnąć takiego potwora.

Młody z pewnym ociąganiem, ale w końcu ruszył z nami do wodopoju. Na zdezelowanej ławeczce przed wejściem odbywała się tajna narada lokalsów. Musiała być tajna, bo nikt nic nie mówił, każdy jedynie od czasu do czasu kontrolował poziom płynu w swojej butelce. Czasem mam wrażenie, że tutejsi rozmawiają telepatycznie.

Po zakupieniu kilku Tomislavów wyszliśmy na placyk przed sklepem, pełniący chyba też rolę lokalnego rynku. Młody został w środku. Ewidentnie wpadła mu w oko sklepowa. Kiedy my delektowaliśmy się ciemnym trunkiem, nasza młodzież śliniła się do ekspedientki. Trochę wydało nam się to dziwne, bo na wodzie stwarzał pozory strasznie ambitnego żeglarza. Pierwszy wyrywał się

do manewrów i ciężko było go oderwać od steru. Szczerze mówiąc, chyba wszystkim było na rękę, że odpiął się od ekipy choć na chwilę.

Padł pomysł, by połowić. W tym celu uzupełniliśmy zapasy złotego trunku i ruszyliśmy na pomost powalczyć o kolację. Na trzy wędki szło nam całkiem dobrze. Młody wrócił po półgodzinie i zaordynował sobie kąpiel.

– Uważaj, Młody, bo po pijaku łatwo się tonie – rzucił od niechcienia Andrzej.

Kiedy w naszym wiaderku leżało już rzędkiem dziesięć srebrnych torped, zauważyłem, że z drugiej strony zatoki sklepowa stoi nad brzegiem ze swoim mężem i rozpaczliwie do nas macha. W pierwszej chwili pomyślałem, że Młody po prostu gdzieś tam pływa. Szybko okazało się jednak, że te sygnały były do nas, a sam zainteresowany właśnie wynurzył się obok nich z wody i niezdarnie zaczął wychodzić po skałkach. Choć patrzyłem z daleka, od razu widziałem, że coś jest bardzo nie tak.

Rana na głowie była długa. Zaczynała się nad prawym okiem, tuż przy linii włosów, a kończyła nad lewą brwią. I tak miał cholerne szczęście. Skok na główkę do wody głębokiej na pół metra mógł się skończyć o wiele gorzej. Nie wyglądało to jednak dobrze. Sklepowa wraz z mężem zawieźli go do lokalnego lekarza. Okazało się, że cięcie jest głębokie i mamy maksymalnie sześć godzin, by dowieźć go do szpitala na szycie. Wstępnie opatrzonego i nafaszerowanego lekami wsadziliśmy naszego skoczka do kabiny, a sami z ciężkim sercem odpaliliśmy katarynę i ruszyliśmy w stronę Zadaru. Lekko licząc: cztery godziny tłuczenia się na silniku w środku nocy tylko

dlatego, że wydawałoby się dorosły człowiek zachował się jak kompletny gówniarz.

– Chłopaki, nie wiem, czy warto się denerwować i wściekać na Młodego. On już chyba dostał swoją lekcję? – ze spokojem rozprawiał Adaś, stojąc przy sterze. To już nie był ten sam wściekły facet, co w porcie.

– Mam lepszy pomysł – odezwał się Andrzej, jakby właśnie przyszedł mu do głowy iście szatański plan. – Będziemy szydzić. Ale nie tak kulturalnie, jak do tej pory. Teraz korzystamy z każdej okazji.

– Adaś – zaczął Jurek. – Co byś zrobił, jakby się zabił?

– Sam nie wiem. Teoretycznie nie był na jachcie, więc za niego nie odpowiadam. Wpisałbym w dziennik jachtowy samowolne oddalenie się od jednostki – skwitował z uśmiechem skipper.

— — —

W Zadarze zacumowaliśmy o trzeciej w nocy. Szpital, prześwietlenia, szycie rany i tak dalej. Na jacht wróciliśmy o piątej. Już świtało. Atmosfera siadła całkowicie, a większość marzyła tylko o tym, by wreszcie się przespać.

Rano, a właściwie wczesnym przedpołudniem, Adaś zaproponował Młodemu, by od razu ogarnął w Zadarze papiery pod egzamin, bo i tak następnego dnia musiałyby to zrobić. Był tylko jeden problem: potrzebne było zdjęcie do patentu. Mina lokalnego fotografa, gdy zobaczył modela, mówiła sama za siebie. Wydając

fotki, spojrzał na swoje dzieło i rzucił w powietrze: – Habemus papam.

I rzeczywiście, Młody w swoich bandażach i wielkim, siatkowym czepcu na głowie wyglądał wypisz wymaluj jak średniowieczny papież.

W sobotę, tuż przed wyjazdem do domu, Młody pochwalił się zdobytym patentem. Ze zdjęcia patrzyła znajoma twarz w białym, ażurowym czepku i z wielkim plastrem na czole. Zdążył jeszcze dodać, że chyba jednak musi trochę potrenować, zanim sam ruszy z rodziną na morze.

– Brak wyobraźni uczy pokory – skwitował krótko Andrzej, dla którego był to już kolejny rejs, a jakoś wcale nie rwał się do samodzielnego powożenia potworem.



– Kurna, trzymaj go, bo sam nie dam rady!

Zwaliste cielsko zacnego pana Szafranka swoje ważyło. Ponad metr dziewięćdziesiąt i ze sto dwadzieścia kilo żywej wagi. No, w tej chwili to raczej półżywej.

Żółte światło oświeślało kamienną keję, co kilka sekund nabierając lekko zielonkawej barwy od latarni na główce mariny. Szuranie i nasze kroki mąciły ciszę nocy, a stłumione rozmowy wydawały się równie niestosowne, co szepty w pustej katedrze. Jedyne głośniejsze dźwięki wydawały naprężone cumy kołyszących się jachtów. Zdawały się mówić: „Nigdzie nie popłyniesz. Zostaniesz tutaj”.

– Teraz najgorsze – rzuciłem do Pawła. – Trzeba będzie go przetransportować przez trap.

– Może lepiej zostawić go na kei? – Nie wiem, czy Paweł mówił serio, czy w żartach, ale mnie też to przeszło przez myśl.

– Rusza nogami, to damy radę. Ja z jednej, ty z drugiej strony trapu i jakoś pójdzie.

Przy wtórze wielu przekleństw i kosztem kilku siniaków nabytych na zejściówce, Szafrankowe zwłoki zostały ulokowane w koi. Port już prawie spał. Nawet w środku sezonu trzecia w nocy stanowiła wyzwanie dla wytrwałości żeglarzy. Spojrzałem na swoją skipperską koję w mesie i uznałem, że trzeba trochę wyluzować, zanim przyjdzie sen. Wiedziałem, że po całej akcji nie tak szybko usnę. Sięgnąłem do lodówki, by zmajstrować jakiegoś drinka. Chyba nawet specjalnie mnie nie zdziwiło, że z zacnych trunków zostały tylko puste butelki.

– Zachomikowałem – odezwał się z dumą za moimi plecami Paweł, trzymając napoczętą butelkę brandy Badel.

– Od samego początku wiedziałem, że będzie z ciebie skipper – rzuciłem z uznaniem. – Chodźmy na keję, bo tu kogoś zbudzimy.

Zaopatrzeni w rudy trunek i butelkę coli, przysiedliśmy na murku. Spokojną ciszę nocy zakłócały tylko ciche rozmowy na sąsiednim katamaranie. Pomyślałem, że to muszą być fajni ludzie, szanujący innych. W dzisiejszych czasach rzadko spotykany gatunek.

– Często miewasz takie akcje? – zagadnął Paweł, robiąc drinki w metalowych kubkach.

– Czasem się zdarza – odparłem od niechcienia. – Ludzie przyjeżdżają wyluzować i zgubią umiar.

– Ale przecież nie masz obowiązku holować ich na jacht.

– Nie mam. Jednak człowiek chce spać spokojnie. Trochę jak ta kwoka: jak wszyscy pod skrzydłami, to jakoś bezpieczniej.

– I tak jutro Szafranek będzie swoje marudził, że nie tak, że nie w tym kierunku, że nie ta knajpa.

– Wiem, wiem – rzuciłem, gapiąc się w zielone światło na główkach mariny i biorąc solidny łyk trunku. – Jednak ja tu jestem w robocie, a oni na wczasach.

– Zaraz – zaczął z namysłem Paweł. – Mówiłeś, że za ten rejs nie bierzesz kasy, bo to znajomi, więc niby w jakiej robocie jesteś?

Długo nie odpowiadałem. Musiałem sam się zastanowić, jak to właściwie jest.

– To, że nie biorę kasy – zacząłem – nie znaczy, że nie odpowiadam niemal za wszystko. Od stanu technicznego jachtu po wybór mariny czy knajpy na kolację. W ten sposób jestem kierowcą, organizatorem, przewodnikiem, serwisem sprzątającym i tak dalej. Jednym słowem: brak kasy za rejs nie zdejmuje ze mnie odpowiedzialności za ten cały bałagan. – Przerwałem na chwilę i spojrzałem na niego z sarkazmem. – Na pewno chcesz zostać skipperem? Wśród ludzi, którzy zaczęli samodzielnie prowadzić jachty, funkcjonuje potężna tęsknota za czasami, gdy byli tylko załogą i nic ich nie obchodziło. Jak to mawiają: ciężko jest lekko żyć.

– Szeeeeeffiee!

Ryk pijanego osobnika dobiegający z naszego jachtu zdawał się niemal bluźnierstwem rozdzierającym ciszę nocy. W zejściówce

sterczała rozczochrana czupryna zawodnika, którego przed chwilą dostarczyliśmy na pokład.

– Zmartwychwstał – mruknąłem zdegustowany i ruszyłem w kierunku łódki, mając niezbyt dobre przeczucia.

– Po pierwsze: nie drzyj się, bo pobudzisz ludzi – warknąłem. – Po drugie: co się stało?

Gość nic nie powiedział, tylko niezdarnie wskazał toaletę.

– Idź spać, posprzątam – wysyczałem przez zęby.

Paw był stanowczo panoramiczny. Rozpoczął się jeszcze w mesie, a kulminował niemal na całej ścianie toalety. Po półgodzinie białe powierzchnie znów błyszczwały, jednak niezbyt przyjemny zapach usunąć było znacznie trudniej.

– Trzeba było zostawić do rana – usłyszałem głos mojego współbiesiadnika z kei, gdy odkładałem wiadra i szmaty.

– Może i tak – westchnąłem. – Jednak na tej łajbie poza nim śpi jeszcze parę osób.

— — —

– Dziś śniadanie robią faceci – oświadczyła Jolka wściekła jak osa, wychodząc na pokład z kompletem gratów świadczących o tym, że udaje się pod prysznic w marinie. Zapewne miało to ścisły związek z aromatem utrzymującym się w jachtowej łazience.

Spojrzałem na trzech wczorajszych bohaterów i już wiedziałem, że najlepiej będzie, jak przegryzę coś samodzielnie, nie czekając na wspólny posiłek. Siedzieli w kokpicie bez słowa i leczyli się chmielowym trunkiem.

– Wracaj szybko! – rzuciłem za nią. – Pasowałoby wypłynąć. Mamy dziś kawał drogi.

Reszta dziewczyn na pokładzie nie była w lepszym nastroju. Spokojnie obszedłem jacht, by sprawdzić, czy wszystko jest gotowe do rzucenia cum, doskonale wiedząc, że jest. Chodziło raczej o to, że nagle poczułem palącą chęć uwolnienia się od tej ekipy choć na chwilę. Na dziobie spotkałem siedzącego na pontonie Pawła.

– Wyspany? – zagadnąłem.

– Na tyle, na ile dało radę – odpowiedział, zapatrzony w główki portu.

– Spokojnie. To dopiero drugi dzień. Ogarną się.

– Wiem, wiem – odparł, nadal patrząc w przestrzeń.

Udało się wypłynąć w ciągu pół godziny. Lekki wiatr z północy pchał nas z prędkością niespełna czterech węzłów. Tak jak przypuszczałem, śniadanie wjechało na stół dopiero koło dwunastej.

– W naszej toalecie – usłyszałem dobiegający z dołu głos jednej z dziewczyn – zepsuła się pompka i nie da rady odpompować.

– Przejmij ster – rzuciłem do Pawła.

– Co nie działa? – zapytałem, schodząc pod pokład.

Dziewczyna, lekko zawstydzona, powtórzyła rewelacje o swoim odkryciu.

– Okej, sprawdzę – skwitowałem i ruszyłem obadać sprawę. Po krótkich oględzinach stało się jasne: ktoś wrzucił coś do muszli. Zapewne papier. Rura odpływowa była zatkana na amen.

– Na razie nie korzystajcie z tego kibelka – zarządziłem, wychodząc z powrotem na zewnątrz. – Jak staniemy, postaram się to ogarnąć.

– Ale to będzie śmierdzieć – skrzywiła się z widoczną odrazą inna załogantka.

– Owszem – odparłem bezlitośnie. – Ale pretensje proszę zgłaszać do tego, kto wrzucił papier.

Wróciwszy do kokpitu, wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Adama.

– Adaś, instalacja WC u mnie jest standardowa, czy to jakieś wynalazki?

– Gdzie stajesz? – usłyszałem w słuchawce zamiast odpowiedzi.

– Chyba na Zlarinie – odparłem zgodnie z ustalonym wcześniej planem.

– To ja też stanę na Zlarinie i ci pomogę. To główniana robota, a i krypę można zatopić – zażartował.

Bez zbędnego tłumaczenia od razu złapał, co się stało.

— — —

Rozebranie całej instalacji, przetkanie rury odpływowej i wyczyszczenie pompki to było małe piwo w porównaniu ze sprzątaniami po całej tej operacji. Większość załogi ewakuowała się na plażę. Na pokładzie zostało tylko kilka osób.

– No dobra – rzucił Adam, ocierając pot z czoła. – Teraz trzeba to posprzątać i postarać się, żeby nie capło na całym jachcie.

– Ja posprzątam – odezwał się Krzysiek niemal bezgłośnie i ze wstydem w głosie.

Popatrzyliśmy po sobie z Adamem, zyskując absolutną pewność, czyja to była sprawka. Nie chcąc gościa bardziej dołować, bez słowa oddaliśmy mu pole, instruując tylko, jak i czym trzeba to wyczyścić.

– Chyba należy nam się piwo – stwierdził Adam.

– Namówiłeś mnie. – Ruszyliśmy do knajpy przy pomoście.

— — —

Po południu, kupując fajki w lokalnym markecie, nabyłem litrową trawaricę. Jakoś nie wierzyłem, że ktokolwiek z mojej załogi wpadnie na pomysł podziękowania Adamowi. Wracając, zajrzałem na jego jednostkę.

– Za pomoc – powiedziałem, wręczając mu flaszkę.

– Miło z ich strony – odparł.

Już chciałem wyprostować, że to ode mnie, ale uznałem, że nie ma to kompletnie znaczenia.

Spojrzałem na swoją ekipę dwa jachty dalej. Chyba powoli zbierali się do knajpy, choć stolik zarezerwowałem dopiero na dziewiętnastą.

– Można? – usłyszałem z kei głos Pawła.

– Dawaj! – zawołał Adam. – Myślę, że trzeba się odkazić po tej głównianej robocie – dodał, odkręcając trawaricę.

— — —

– To gdzie jutro? – spytała Jolka, pałaszując sałatkę z ośmiornicy.
– Może gdzieś bardziej na dziko?

– Jeśli nie chcecie do mariny, to możemy stanąć na bojce. Tylko nie wiem, czy ktoś z was będzie chętny gotować. No, chyba że pociągniemy na kanapkach – rzuciłem z lekkim sarkazmem.

– A nie można z bojki popłynąć pontonem do jakiejś konoby?

– Można. Musicie jednak wiedzieć, że zwykle takie odcięte od świata knajpy są cholernie drogie. Możecie zapłacić nawet dwa razy tyle, co normalnie.

– Raz można – odezwał się zamożny bohater zeszłej nocy. O dziwo, reszta ochoczo przytaknęła.

– Nie ma problemu. Jak wrócimy, sprawdzę możliwe opcje i rano coś zaproponuję.

– A swoją drogą – zmieniła temat Jolka – w całym jachcie wali głównem i chlorem. Nie wiem, jak będziemy spali.

Spojrzałem po wszystkich i odpowiedziałem ze stoickim spokojem: – Podziękujcie temu, który upchał papier tam, gdzie nie trzeba.

— — —

Ranek okazał się rześki. Rozkręcające się jugo dawało już po dwadzieścia węzłów. Ślęczałem nad mapą, szukając innej opcji na postój. Przy tym wietrze lepiej było schować się od północy. Szczególnie stając na bojce. Gdy cała załoga wyległa do kokpitu, wyłożyłem karty na stół.

– Możemy popłynąć do "Nietoperza". Kawał drogi, ale będziemy schowani przed złym, które niechybnie zdąży w naszym kierunku. Jednak ostrzegałem: tam tanio nie będzie.

Po chwili milczenia zapadła decyzja: płyniemy.

— — —

Chłopaki tym razem trochę odpuścili z alkoholem. W tych okolicznościach przyrody nie wyobrażałem sobie holowania któregoś

z nich na pokład z użyciem pontonu. Ekipa wydawała się zadowolona z kolacji, mimo że rachunek okazał się naprawdę słony. Gdy wszyscy wrócili już na jacht, co wymagało ode mnie zrobienia trzech kursów bączkiem, chłopaki oświadczyli, że muszą się wykąpać. Patrzyłem na nich i nie do końca byłem pewien, czy w tym stanie powinni wchodzić do wody.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zastrzegłem. – Jednak jesteście dorośli i sami decydujecie o sobie.

Odpuścili. Ale tylko na chwilę. Po opróżnieniu kolejnych szklanek, chęć kąpieli wróciła ze zdwojoną siłą. Na nic zdały się moje racjonalne argumenty, a z czasem nawet i groźby.

Bilans nocnych harców był dość rozbudowany. Rozcięta ręka, kilka siniaków i zwichnięty palec u nogi. Na deser: kilka kolców jeżowca wbitych centralnie w kolano.

— — —

Paweł siedział na polerze i swoim zwyczajem gapił się w przestrzeń.

– Nie śpij – rzuciłem. – Bo ci dziecko podrzuca.

– Nie śpię, myślę – odparł filozoficznie. – Jednak ta robota skippera to strasznie niewdzięczny kawałek chleba – ocenił po chwili.

– Różnie bywa – uciałem, bez wdawania się w szczegóły.

– Trochę mi wstyd – dodał nagle. – Większość z nich to moi znajomi, a na koniec pobytu w knajpie nawet nie powiedzieli głupiego „dziękuję”. Podeszli do tego jakby nigdy nic. Jakby wysiadali z autobusu. Krzysiek też nie przeprosił, ani ciebie, ani reszty załogi. Chociaż ty przez cały rejs świeciłeś oczami za cudze niedociągnięcia.

– Ludzie tacy po prostu są – wzruszyłem ramionami. – Ja i tak dalej będę od czasu do czasu prowadził rejsy, licząc, że znów trafi się jakaś fajna ekipa.

– A tę trawaricę wczoraj to ty kupiłeś dla Adama?

– Tak. Czasem po prostu tak trzeba.

Korniaków 01.10.2022



Lekcja

– Coś, staruszk, nie wyrabiasz – zadrwił Olek, zwracając się do ojca.

– Idź sam utrzymać muring, gdy wiatr cię odwala – zripostował ojciec, znikając ciężko w zejściówce.

Tylko spojrzałem na Olka. Wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na to, ile wysiłku kosztowało jego ojca szarpanie się z cumą. Faktycznie wiało z prawej burty i sam doskonale wiedziałem, że dociągnięcie muringu, nawet gdy pomagałem silnikiem, mogło być trudne. Już chciałem coś powiedzieć, gdy włączył się nasz małomówny Jankes.

– Wiesz, stary – zwrócił się bez ogródek do Olka. – U nas na dzielni mawiają: „Szanuj starego, bo masz jednego”. – Tym stwierdzeniem zakończył swoją, jak zwykle niezbyt rozbudowaną, przemowę i wstał, by podać trap.

Dociągnąłem cumy i skwitowałem manewr sakramentalnym: „Tak stoimy”. Dziewczyny już czekały, by zejść na ląd i ruszyć na zwiad mariny. Olek też nie omieszkiał polecieć z nimi. Ewidentnie było

widać, że Aśka wpadła mu w oko. Ja wręcz przeciwnie – nie miałem ochoty na żadne spacer, choć w tej marinie byłem ostatnio dość dawno temu. Po kilku godzinach stania za sterem miałem ochotę tylko wyciągnąć się w mesie z zimnym piwem w dłoni.

– Chcesz browara? – spytałem ojca Olka, siedzącego za stołem.

– Jak zimne, to chętnie – odparł z uśmiechem na twarzy, ocierając krople potu z czoła. – Sorry za mojego syna, ale on już taki jest, że musi trochę pocwaniaczyć – dodał, odbierając ode mnie szklankę. – Chciałem go wychować na twardego faceta, który ma dużo pewności siebie.

– Może to nie moja sprawa – odpowiedziałem. – Jednak taka pewność siebie zakrawa mi już trochę na bezczelność – dodałem szczerze, mając nadzieję, że pan Stefan się nie obrazi.

– Może i tak. Jednak wolę, by był trochę bezczelny, niż żeby został jakąś życiową dupą.

Gdy tak gadaliśmy sobie o perypetiach, przyszedł mi do głowy chytry plan.

— — —

Równa piętnastka w północy niosła nas na południe. Kobiety rozłożyły się na dziobie, reszta załogi wolała zainstalować się w kokpicie. Między wyspami fala była minimalna i mimo prawie siedmiu węzłów na logu, szliśmy praktycznie bez chlapania. Olek postanowił znów spróbować sił z Aśką, więc niewiele myśląc,

wyskrobał się z kokpitu i pomaszerował do królestwa dam, opalających się na pontonie.

– Panowie – zacząłem jakby od niechcenia. – Wydaje mi się, że Olek trochę za bardzo kozaczy.

Jankes spojrzał na pana Stefana, upewniając się w milczeniu, czy może coś dodać. – Powiedziałbym, że nawet trochę więcej niż trochę – wyraził swą opinię i łyknął zimnego, białego wina z wodą.

– W takim razie mam propozycję – rzuciłem. – Dziś przy parkowaniu wyślemy go do muringu razem z panem, panie Stefanie. Niech chłopak pokaże, jaki z niego mistrz. Ja jednak postaram się, żeby to ojciec pokazał synowi, jak to się robi.

Ustaliliśmy jeszcze kilka szczegółów i wspólnie zaakceptowaliśmy plan na parkowanie. Musiałem tylko przemyśleć parę technicznych aspektów, bo łatwo powiedzieć, a trudniej zrobić. Tymczasem z dziobu dobiegał tubalny głos Olka i chichoty dziewczyn.

— — —

Parkowanie w Rogoźnicy z reguły nie należy do trudnych. Właściwie trzeba tylko uważać, żeby nie zaryć sterem w żwir, bo przy samym brzegu bywa płytko. Tym razem jednak jakoś tak się złożyło, że wiało dokładnie w zatokę. Powierzchnia burty morskiego jachtu to kilkanaście metrów kwadratowych. Tyle, ile żagla głównego mają łódki na Mazurach.

Wyznaczyłem ludzi do cum, a na dziób wysłałem Olka z ojcem, z wyraźnym zastrzeżeniem, że to Olek ma wybierać muring. Gdy byliśmy już kilka metrów od kei, lekko ruszyłem sterem, a wiatr zrobił swoje. Jacht zaczął uciekać dziobem w prawo, a muring znalazł się po zawietrznej. Widziałem, jak Olek w pocie czoła mocuje się z liną, a jacht i tak mu ucieka. Gdy założyłem cumy rufowe, krzyknąłem do ekipy na dziobie:

– Olek! Daj cumę ojcu!

Oddał linę, ale widząc, że nie będzie łatwo, dla asekuracji złapał ją z tyłu. Dałem „małą naprzód” i zawołałem: – Jak będzie luzować, to wybierajcie!

Po chwili silnik zrobił swoje, dopychając i prostując jacht. Pan Stefan bez większego wysiłku, płynnym ruchem wybrał muring i obłożył go na knadze. Gdy wrócili do kokpitu, Olek wydawał się jakiś skwaszony.

– I jak, Olo? – rzucił Jankes. – Coś mi się zdaje, że tym razem to ty nie wyrabiałeś, i to nie tylko siłowo, ale i intelektualnie! – zakończył, wesoło rechocząc.

— — —

Wszyscy rozeszli się po marinie. Tylko Olek siedział w mesie i dumał nad drinkiem. Jankes wstał powoli ze swojego legowiska w kokpicie i jakby od niechcenia zszedł pod pokład.

– Co, trochę głupio? – zapytał Olka, wyciągając z lodówki białe wino i nalewając sobie kolejną szklankę.

– A bo... – zaczął Olo. – Skipper mu pomógł silnikiem – rzucił, nie podnosząc wzroku znad szklanki.

– Owszem – zripostował Jankes. – Jednak powinieneś wziąć pod uwagę to, że twój ojciec ma już swoje lata i nawet gdyby chciał, to fizycznie nie będzie tak sprawny jak ty. Nauczył cię w życiu wielu rzeczy. Może przyszedł czas, by zacząć mu pomagać, a nie uprawiać szyderę?

Olo podniósł wzrok i odezwał się już nieco pewniej: – Wiem. Właśnie to chyba do mnie dotarło. Ojciec był dla mnie zawsze kimś niezniszczalnym, a dziś zrozumiałem, że role powoli się odwracają. To ja powinienem zacząć mu pomagać.

Jankes wyszedł z pełną szklanką na zewnątrz, a zanim jeszcze ułożył się z powrotem na swoim miejscu, rzucił do mnie cicho: – Dotarło.

Warszawa 3.05.2020



Twarde drewno – pomyślałem. – Wąskie listwy, sklejone razem. Stuknąłem jeszcze kilka razy „białą damą”, jak nazywają swą łaskę niewidomi, by lepiej poznać nową drogę na jacht. Poczułem lekkie kołysanie trupu w poziomie. Pojedyncze szarpnięcia przy każdej zmianie kierunku kołysania świadczyły o tym, że jacht stoi na dwóch równo naciągniętych cumach. Gdyby jedna z nich była luźniejsza, szarpnięcia byłyby dwa, za każdym razem, gdy fala odpychała jacht od nabrzeża.

Dotarłem na pokład. Wielkie, rozmyte plamy wyznaczyły mi przestrzeń do eksploracji. Spokojnie i metodycznie zacząłem opukiwać pokład i nadbudówkę.

– Witamy na pokładzie – tubalny głos kapitana wydawał się spokojny i pewny. – Może cię oprowadzę? – padło rzeczowe pytanie. Bardziej odczułem, niż usłyszałem, że to zaproszenie było szczere, a nie wymuszone moim kalectwem.

Przez ponad pół godziny „biała dama” ciężko pracowała. Staralem się poznać wszystkie zakamarki jachtu. Gdy już wychodziłem na zewnątrz, jej głos mnie zaczarował. Lekko chrapliwy, ale dźwięczny i pewny siebie. Pierwsze, co przyszło mi do głowy to: Ciekawe, czego jej brakuje? Może też kiepsko widzi? Choć doskonale wiedziałem, że każde z nas ma tutaj inną ułomność.

Poczułem lekką falę kołyszącą jachtem. Już nie mogłem się doczekać oddania cum i wypłynięcia tam, gdzie morze pachnie inaczej. Wiele razy słyszałem: „Po co ty się tam pchasz, przecież i tak nie widzisz?”. Ludzie jednak nie rozumieją, że poza wzrokiem istnieje cała gama odczuć opartych na innych zmysłach. U zdrowego człowieka wzrok odpowiada za około siedemdziesiąt procent informacji. Gdy brakuje ci jakiegoś zmysłu lub mocno on szwankuje, inne szybko stają się wyczulone. Można „zobaczyć” świat inaczej, ale równie w pełni.

Spadająca temperatura i inny odcień światła zapowiadały nadchodzący wieczór. Kapitan, dość młody chłopak o imieniu Krzysztof, zaprosił wszystkich do mesy. Każdy miał się przedstawić i opowiedzieć o sobie oraz swoich ułomnościach. Okazało się, że byłem jedyną osobą niewidomą. Reszta ekipy miała przeróżne przypadłości: brak nogi lub dwóch, brak ręki, częściowy paraliż i tak dalej. Znając środowisko osób niepełnosprawnych, wiedziałem, że minie trochę czasu, zanim sobie zaufamy. Od samego początku zwróciłem jednak uwagę na chłopaka o imieniu Piotrek. Trochę się wzdrygnąłem, kiedy złapał mnie za rękę i próbował pomóc w zejściówce, choć wiedziałem, że zrobił to, mając dobre intencje.

– Dzięki, ale dam sobie radę sam – rzuciłem w kierunku ciemnej, rozmytej postaci. – Muszę poznać teren, jak mam pływać tym przez tydzień – odparłem, trochę się usprawiedliwiając.

– Nie ma sprawy – odparł. – Jestem stosunkowo nowy w te klocki i czasem popełniam gafy – zakończył z uśmiechem w głosie.

Potem okazało się, że z własnej głupoty, bawiąc się materiałami wybuchowymi, stracił jedno oko, pół prawej ręki i słuch w prawym uchu.

— — —

Zapach porannej bryzy wdarł się do naszej kabiny. Piotrek przeciągnął się, wydając nieartykułowany dźwięk. Jakoś tak się złożyło, że wylądowaliśmy w jednej kajucie.

– No, to dziś ruszamy – stwierdził buńczucznie, siadając na koi.

– Nareszcie – skomentowałem. – Bo już nudno się robi przy tym nabrzeżu.

– Ponoć dziś rano ma się pojawić jeszcze jakaś osoba – dodał Piotrek, walcząc z częścią garderoby. A przynajmniej tak to wyglądało w tym szczątkowym obrazie, który dostrzegałem.

Lekka zmiana rytmu kołysania pokładu z jednoczesnymi dodatkowymi dźwiękami pozwoliły mi stwierdzić z niemal całkowitą pewnością: – Chyba właśnie ktoś wszedł na jacht.

Piotr zerknął przez bulaj i przyznał z uznaniem: – Dobry jesteś. Dotarł jakiś zarośnięty gość na wózku.

Zapach kawy w mesie był niesamowity. – Czy mogę się poczęstować? – spytałem bardziej z kurtuazji niż z chęci potwierdzenia.

– Już ci robię – usłyszałem za plecami ten niesamowity głos, na który zwróciłem uwagę jeszcze wczoraj wieczorem.

– To miło z twojej strony – odparłem. – Ale myślę, że sam trafię po zapachu – dodałem z uśmiechem. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że mogło to zabrzmieć tak, jakbym odpychał ją od siebie.

Postanowiłem bliżej poznać Ankę – tak przedstawiła się na wczorajszej odprawie. Jednak nim zdążyłem coś powiedzieć, czy chociażby się usprawiedliwić, skrzypnięcia schodków zawiadomiły mnie, że właśnie wyszła z mesy.

Trzeba by podejść i osobiście się przedstawić – pomyślałem. Miałem jednak jeden problem. Dziewczyna powiedziała, że straciła rękę w wypadku i teraz chodzi z protezą, ale nie sprecyzowała, o którą kończynę chodzi. Wyobraziłem sobie, jaką niezręcznością byłoby, gdybym do niej podszedł i wyciągnął prawą rękę, a okazałoby się, że to właśnie jej brakuje. Wpadłem na pomysł, że mógłbym zapytać Piotra, jednak trochę wstydziłem się ujawniać moje zainteresowanie Anką. A może znów zagrała moja duma i chęć udowodnienia świata, że daję sobie radę sam? Może jak się bliżej poznamy, to go spytam – postanowiłem.

– Ściskasz mi rękę! – niemiło i z wyrzutem odezwał się ktoś na zejściówce.

– Jakoś cię tam musimy włożyć – odezwał się Piotr, którego poznałem po głosie.

– To się ogarnijcie, nie jestem workiem kartofli! – ciągnął dalej oburzony, nowy załogant.

Już po wypłynięciu, gdy znaleźliśmy się stosunkowo daleko od reszty załogi, Piotr oznajmił mi, że ten nowy to kawał chama i w ogóle mu się nie podoba. Faktem jest, że ja też zauważyłem roszczeniową postawę Waldka. Był z tej bandy, która uważała, że kalectwo obliguje cały świat do tego, by mu współczuć i pomagać. Przypomniał mi moje własne dzieciństwo, gdy sam, z czystego wygodnictwa, starałem się rekompensować sobie poczucie straty poprzez wymaganie od innych, aby we wszystkim mnie wyręczali.

– Stary – odezwałem się do Piotra. – Mam małą prośbę.

– No to wal prosto z mostu – odparł zapatrzony w horyzont. Wiedziałem to, bo jego głos miał inne brzmienie niż wtedy, gdy mówił bezpośrednio w moim kierunku.

– Czy możesz... – zacząłem dukać jak gówniarz w podstawówce. – Najpierw mi powiedz, czy ktoś słucha tego, co mówimy?

Piotr obejrzał się na prawo i lewo. – Czysto, bracie, nikt nie słucha. Ale pamiętaj o bulajach, w kabinie pod nami zawsze ktoś może być – dodał, trochę rozbawiony moim pytaniem.

– Chodzi o Ankę – zacząłem półgłosem. – Chciałbym się przedstawić. No wiesz, tak osobiście. Tylko nie wiem, czy nie strzełę gafy.

– A niby na czym ta gafa miałaby polegać? – spytał z zainteresowaniem. – Nie masz chyba zamiaru złapać jej za jakąś, hmmm... niepoprawną część ciała?

– Nie, nie. Ja tylko chciałbym jej podać rękę na powitanie, ale nie wiem, którą ma swoją – dodałem już całkiem cicho.

– Kurde. Nawet o tym nie pomyślałem, ale rzeczywiście dla ciebie to może być problem – skonstatował Piotr. – Prawą, bracie, prawą! – oświadczył triumfalnie.

– Dzięki – niemal szepnąłem. – Jakoś ci się odwdzięczę.

– Daj spokój. Jak jeszcze kiedyś będziesz miał taki dylemat, to wal jak w dym. Może mam tylko jedno sprawne oko, ale za to prima sort! – zaśmiał się, szczerząc zęby.

— — —

– Cholera jasna. Jedź po równym! – zniecierpliwiony komentarz kapitana skierowany był do sternika.

Rzeczywiście, nie było łatwo zjeść cokolwiek, gdy nasz wszyskowiedzący, beznogi Wielki Waldi (jak go szybko ochrzciła załoga) siedział za kołem na dużej fali. Facet był wręcz dumny z tego

przydomka i pozostawał na tyle zadufany w sobie, że nawet nie łapał sarkazmu.

– Michał, widzę, że już zjadłeś – zwrócił się do mnie kapitan. – Jeśli to nie problem, zmień tego poskramiacza fal, bo sobie sztućcami zęby powybijamy.

Gdy zacząłem wstawać, usłyszałem niemrawe głosy załogi: „Ale przecież on nie widzi” i tym podobne.

– Wiecie co? – odezwał się na to kapitan. – Może i nie widzi, ale za to czuje łódkę i potrafi schodzić z fali, a nie łomotać w nią jak kafarem.

– Pójdę z tobą... – usłyszałem głos Anki. Już miałem wypalić, że nie potrzebuję żadnej pomocy i dam sobie radę sam, ale tym razem się powstrzymałem.

Wielki Waldi oddał ster z ulgą. Z jednej strony miał ochotę coś zjeść, ale też chyba nieźle dało mu w kość kręcenie kołem przez dwie godziny z okładem.

– Czy ktoś mi pomoże? – władczy głos Waldka zabrzmiał przy zejściówce.

– Ależ oczywiście – wypalił kapitan. – Za jedno magiczne słówko.

Zapadła cisza. Tylko wiatr pogwizdywał na takielunku, nieco kłócąc się z bulgotem fal. Milczenie się przeciągało, aż w końcu usłyszeliśmy niemal tak ciche jak pogwizdywanie wiatru: – Proszę.

Uwielbiałem pływać na fali i trzymać ster. Może nie do końca wiedziałem, gdzie dokładnie płynę, ale olbrzymią frajdę sprawiało mi

„bieganie po falach”, jak to kiedyś sam nazwałem. Wyjazd dziobem najszybszą trasą, czyli prostopadle do fali, a gdy już łódka lekko wyhamowywała i zaczynała opadać dziobem – zjazd bokiem w samą dolinę. A stamtąd znów wyjazd na falę, wykręcając w kierunku jej szczytu. Mogłem tak godzinami i nigdy mi się to nie nudziło.

– Może poznamy się bliżej? – zagadała nieśmiało Anka, siedząc obok mnie i korygując ogólny kierunek płynięcia. – Jak coś, to swoją mam lewą – dodała rozbawiona.

Uduszę cię – pomyślałem. – Zatłukę cię, Piotrze. Bo niby skąd wiedziała o moim dylemacie? Na głos, z lekkim wahaniem odpowiedziałem: – Oczywiście. – Choć chciałem w tej chwili dodać milion innych słów. Kręcący wiatr przyniósł w moim kierunku jej delikatny zapach.

Wyciągnąłem lewą rękę. Poczułem silny uścisk nienaturalnie ułożonej dłoni.

– Chyba nie jestem przyzwyczajony do witania się lewą ręką – przyznałem, trochę zmieszany.

– Daj spokój. Już dawno przywykłam do tego, że dla większości ludzi to nienaturalne.

— — —

Rzeźkie powietrze o smaku soli owiewało nas, gdy siedzieliśmy z Anią na murku, czekając na resztę załogi. Kapitan zarezerwował miejsca w lokalnej knajpie, więc nie wypadało odmówić pójścia.

Pewnie zresztą nikomu ten pomysł nawet nie przeszedł przez myśl. Od czasu do czasu dolatywał do mnie zapach lawendy i cytrusów. Uwielbiałem ten aromat, którego roznosicielką była dziewczyna siedząca obok.

– Pięknie tutaj – stwierdziła, obrócona w kierunku morza. – U ujścia zatoki są jakieś stare ruiny, a na brzegu kolorowe domki. Razem z zachodzącym słońcem tworzy to świetny obraz – dodała, chcąc chociaż opowiedzieć mi, jak wygląda to, co ona widzi.

– Po prawej – powiedziałem, unosząc rękę – jest sosnowy las i duże skały.

– Oszukujesz – burknęła, szturchając mnie swoim ramieniem w ramię. – Chyba trochę ściemniasz z tym twoim słabym widzeniem – dodała z uśmiechem w głosie.

– Naprawdę kiepsko widzę – stwierdziłem. – Ale iglasty las szumi całkiem inaczej niż liściasty. A fala, która rozbija się o skały, brzmi inaczej niż fala pienia się na płaskiej plaży.

– Nigdy o tym w ten sposób nie pomyślałam – przyznała zadumana.

– Ciii... Nie ruszaj się – rzuciłem szeptem. – Za nami coś szeleści w trawie. Nie wiem na pewno, ale obstawiam jaszczurkę.

Dostrzegłem w moich zarysach, jak Ania powoli się obraca.

– Duża, zielona, z brązowym grzbietem – wyszeptała. – Jesteś niesamowity. Ty naprawdę widzisz świat uszami – rzuciła z podziwem.

– To nic takiego – zacząłem się nieśmiało usprawiedliwiać. – Chciałem ci tylko pokazać, że więcej słyszę, niż widzę.

– – –

Kolacja była jakąś magią. Swoim zwyczajem zamówiłem najlepsze lokalne potrawy i był to strzał w dziesiątkę.

– Za naszą piracką załogę! – zadudnił kapitan, wznosząc w górę swój kufel. Wszyscy złapali za szkło i chętnie wypili toast.

– Chciałbym... – zaczął nasz Wielki Waldi. Siedział na swoim wózku u wezglowia stołu, więc trudno go było zignorować.

– Chciałbym... – powtórzył. Jakoś nikt z nas nie miał specjalnej ochoty wysłuchiwać toastów naszego wszechwiedzącego malkontenta, no ale nikt też nie uciekł od stołu. Waldek kontynuował: – Chciałbym was przeprosić. – I tu chyba zyskał zainteresowanie większości z nas. – Przeprosić za to, jak się zachowywałem do tej pory. Odkąd usiadłem na tym moim tronie – wskazał na wózek – nigdy tak naprawdę nie znalazłem się w sytuacji, w której o coś musiałem poprosić. Wszyscy wkoło mi pomagali, a ja przyzwyczaiałem się, że mi się to po prostu należy. Przez te ostatnie kilka dni byłem zdany tylko na was. I dziękuję wam, że – choć może w bardzo bezpośredni sposób – uświadomiliście mi, że gównu mi się należy. Pokazaliście mi, że aby coś zyskać, trzeba coś od siebie dać... choćby głupie dobre słowo. – Zamilkł na chwilę i wreszcie dodał: – Obiecuję też, że postaram się być mniej obcesowy i miłszy. Z góry

przepraszam, jeśli czasem wyjdzie ze mnie ten stary ja. Wasze zdrowie! – zakończył, unosząc kufel.

– Za to koniecznie trzeba wypić – zawtórował z uśmiechem kapitan.

— — —

Siedzieliśmy z Anią na dziobie i każde z nas na swój sposób podziwiała ostatni wschód słońca na tym rejsie. Delikatna fala niosła łódkę na wschód, prosto do domu. Chyba żadne z nas nie chciało kończyć tej wyprawy.

– Szkoda, że nie możesz zobaczyć tego spektaklu – odezwała się Ania. – Wszystkie odcienie czerwieni i pomarańcza rozlewają się na granacie morskich fal.

– Każdy widzi po swojemu – odparłem. – Ja czuję bryzę, zapach soli, lekkie kołysanie. Słyszę skrzypnięcia takielunku i czuję na twarzy to ciepło, które pojawia się wraz ze słońcem. Każdy z nas widzi niby to samo, a jednak inaczej.

– Masz rację – przyznała z zadumą w głosie. – Nawet ludzie zdrowi, patrząc na to samo, często widzą coś zupełnie innego. – Po chwili milczenia dodała cicho: – Myślę, że ty tak naprawdę widzisz więcej. Bo patrzysz całym sobą, a nie tylko oczami.

Warszawa 04.11.2021

Michał, dziękuję za inspirację i wspaniałą opowieść ...



– No to jak już wjechałeś, to ich wysadź – rzucił do mnie Mirek jakby od niechcienia.

Spojrzałem na niego, aby się upewnić, że mówi całkiem serio. Od wypłynięcia z Malty wszystkie manewry w marinach wykonywałem sam. Owszem, wiele godzin w dzień i w nocy spędziłem za sterem, ale tylko na otwartej wodzie.

Spojrzałem na zatokę. Kiedyś tu już byłem. Hvar to ruchliwe miejsce. Wciąż wpływają i wypływają promy. Mnóstwo motorówek i żaglówek kręci się w nieuporządkowanym tańcu szalonego choreografa zwanego życiem. Nie ma tu szans na tradycyjne cumowanie, trzeba zorganizować desant. Podpływasz rufą do nabrzeża i szybko wysadzasz część załogi, która z utęsknieniem czeka na zwiedzanie zacnej twierdzy. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Jedynym miejscem nadającym się do takiej operacji jest nabrzeże promowe. Trzeba więc znaleźć okienko, kiedy tłuste, białe wieloryby nie parkują przy brzegu.

Druga sprawa to wiatr. Fajnie by było, gdyby dmuchał od nabrzeża, ale o tym można co najwyżej pomarzyć. Zwykle wieje w zatokę lub z niej, czyli prostopadle do tego, jak mam podpłynąć. Burta morskiego jachtu ma powierzchnię głównego żagla, który stawiamy na mazurskich łódkach, i wiatr potrafi zepsuć najlepsze podejście. Kiedy już to wszystko sobie uświadomiłem, zacząłem czekać na dogodny moment. Logika podpowiadała mi, że najlepiej całą operację zrobić z dość mocnego skreću, bo wrzucanie wstecznego biegu na środku zatoki wydawało się co najmniej szalone. Te kilka długich chwil, gdy łódce brakuje manewrowości i jest zdana na wiatr oraz fale, przy tak ruchliwym miejscu mogło być brzemienne w skutkach.

– Coś cię poniosło – rzeczowo stwierdził Marecki, spoglądając spod turystycznego kapelusza. W jego głosie można było wyczuć nutę sarkazmu.

Rzeczywiście, gdy byłem już kilka metrów od upatrzonego miejsca, łódka straciła sterowność, a wiatr dokończył dzieła. Jedyne, co mogłem zrobić, to wrzucić „małą naprzód” i zacząć od nowa.

– No to sobie poczekamy – Ruda dołączyła się do komentowania mojego manewru, widząc, że do zatoki wchodzi kolejny prom.

Mirek milczał z nieodgadnioną miną. Zrobiłem kolejne kółko, czekając na odejście promu. Byłem przekonany, że zrobiłem wszystko jak należy, ale rufa jachtu wylądowała co najmniej trzy metry dalej, niż zakładane miejsce, z którego można było zejść na ląd. Tym razem spróbowałem nieco inaczej. Wpłynąłem głębiej w zatokę, by mieć czas na skorygowanie manewru. Jednak i tym razem,

zanim dojechałem do nabrzeża, wiatr zaczął spychać jacht w głąb zatoki.

Wtedy Mirek nie wytrzymał. – Co ty odpierdalasz?! – rozpoczął wypowiedź zakończoną długim zestawem niecenzuralnych słów i niewybrednych określeń pod moim adresem.

Kompletnie skołowany stwierdziłem, że spróbuję jeszcze raz. Tym razem nie było perfekcyjnie, a nawet nie było dobrze, jednak na tyle skutecznie, że załoga mogła udać się na upragnione zwiedzanie.

– Płyn na boję – polecił już nieco spokojniej Mirek, choć w jego głosie wciąż pobrzmiwało wzburzenie.

Wiedząc, że nie wiążemy się na cały dzień, złapaliśmy boję z rufy i nawet nie przeciągaliśmy jej na dziób. Gdy byliśmy już bezpiecznie uwiązani, zszedłem pod pokład i przyniosłem po małym browarze, by choć trochę oczyścić atmosferę.

– Mirek, co ja właściwie źle robiłem? – spytałem, gdy obaj ugasiliśmy pierwsze pragnienie.

– Wszystko – stwierdził, nie odrywając wzroku od twierdzy majaczej na szczycie wzgórza. – Czy ty kiedyś w ogóle parkowałeś jachtem morskim? – spytał i wreszcie spojrzał na mnie.

– Nie, nigdy – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Kiedyś, dawno temu, gdzieś w latach osiemdziesiątych ćwiczyłem na „wenuskach”, ale tego nie można porównywać – dodałem, chcąc się jakoś wytłumaczyć z moich pokracznych manewrów.

Mirek przez dłuższą chwilę nie wypowiedział ani słowa, jednocześnie patrząc na mnie jakoś dziwnie.

– Wiesz – zaczął z namysłem – byłem święcie przekonany, że jesteś po naszym tygodniowym szkoleniu manewrowym. Tak dobrze radziłeś sobie przez ostatnie dwa tygodnie z nawigacją i prowadzeniem jachtu, że nawet do głowy mi nie przyszło, że nie masz doświadczenia w manewrówce portowej.

Nic nie odpowiedziałem, ale on po chwili dodał: – Stary, wybacz moje zachowanie. Nie wiedziałem, że robisz to pierwszy raz w życiu.

— — —

Załoga zadzwoniła dokładnie za trzy godziny. Zeszliśmy z boi i ruszyliśmy, by ich zabrać.

– No to teraz masz szansę się czegoś nauczyć – rzucił Mirek i wepchnął mnie za ster.

Popatrzyłem na niego niepewnie, ale po minie widziałem, że jest przekonany, że dam radę. Udało się za pierwszym razem. Jednak tym razem Mirek na bieżąco korygował moje ruchy i działania, tłumacząc zawczasu, co mam zrobić.

Gdy już wszyscy zameldowali się na pokładzie i ruszyliśmy w dalszą drogę, Marecki, schodząc pod pokład, zobaczył na ploterze ścieżkę moich wyczynów sprzed trzech godzin. Wyglądało to jak węzeł gordyjski przyczepiony do wschodniego brzegu zatoki. Oczywiście stary szyderca nie omieszkał skomentować tego w

niewybrednych słowach. Nie miałem mu tego za złe, bo jakoś zawsze lubiliśmy sobie tak po przyjacielsku dokopywać.

– Chciałem oficjalnie przeprosić – odezwał się Mirek, słysząc, co mówi Marecki. – Nie miałem prawa opieprzać człowieka, który robił to pierwszy raz w życiu. To tak, jakbym dał ster tobie, Marecki, i nic nie mówiąc, kazał ci podejść tym jachtem do nabrzeża – zakończył, spoglądając po kolei na wszystkich.

– Zaraz, zaraz. On ma papiery sternika, a ja nie – odciął się Marecki.

– To nie tak – odparł z namysłem Mirek. – Można mieć papiery, ale trzeba mieć jeszcze doświadczenie, a to nie przychodzi samo. Mogłem mu dać ster w kilku marinach, ale myślałem, że jest po naszych manewrówkach. I powiem wam, że jak na człowieka, który robił to pierwszy raz, to poradził sobie bardzo dobrze.

— — —

Ostatni wieczór. Trzeba się rozstać po prawie trzech tygodniach włości z Malty, przez Sycylię, Włochy, Czarnogórę, aż po Chorwację. Zwykle ten moment to mieszanka radości i smutku.

– Za nas, abyśmy kiedyś jeszcze mieli okazję razem tak się powłóczyć – wzniósł toast Mirek, unosząc szklankę zycznego trunku.

– I za naszego skippera – zawtórowała Ruda. – Bo nie każdy facet potrafi powiedzieć „przepraszam”.

Pustków 23.08.2020



– I will come again! – krzyknąłem do marinero, widząc, że wiatr zepchnął mnie prawie na muringi.

Gdy wybierałem Prvić, miałem nadzieję, że ta resztką bory, która targała nasze szmaty przez całą drogę, nie będzie miała dostępu do mariny. Zapomniałem tylko o jednym: tam jest siodło i przy tym kierunku wiatru robi się dodatkowa akceleracja. Jednym słowem – wiatr miałem dopychający, i to w porywach mocniejszy niż na zewnątrz.

Dodatkowo, gdy bora rządzi w Chorwacji, ciężko znaleźć miejsce w porcie. Nikomu nie chce się walczyć z wiatrem i falą, każdy woli zostać w bezpiecznym schronieniu. Na nasze szczęście Luka, lokalny marinero, nieco poupychał jachty i znalazło się dla nas odrobinę miejsca. Co prawda w zwykłej sytuacji bym go wyśmiał i popłynął gdzieś indziej, bo miejscówka była co najmniej problematyczna, ale w tych warunkach nie było co marudzić.

Dałem ognia do przodu na silniku i zrobiłem kolejne kółko, w międzyczasie tłumacząc załodze, że tym razem nie ma zmiłuj – nikt nie może się zagapić, trzeba to zrobić szybko i sprawnie. Skręt na wstecznym i dojeżdżanie dziobem do wiatru pozwoliły utrzymać prawidłową trajektorię. Jednak gdy podałem cumy na keję, podmuch zrobił swoje i musiałem oprzeć się o sąsiednią łódkę. Po odrobinie zamieszania i kilku niecenzuralnych słowach, ostatecznie bez strat w ludziach i sprzęcie, spokojnie naciągnąłem cumy i muring.

– Co cię tu przyniosło w taki syf? – usłyszałem z kei. Z rozgrzanego kamienia uśmiechała się do mnie nieogolona twarz Lokiego.

– Stałem w Aganie – odrzekłem, gasząc silnik. – A jutro zdaję jacht, więc musiałem zrobić trochę trasy, żeby nie wracać w ciemną noc.

– Czasem tak bywa – odparł. – Podejrzewałem, że dla samej przyjemności tego nie robisz.

Gdy trap wylądował już na swoim miejscu, przeskoczyłem na ląd przywitać się z dawno niewidzianym kumplem.

– Skoro już tu jesteś – podjął Loki – zapraszam wieczorkiem na odrobinę miejscowego asfaltu. – Uśmiechnął się rozbawiony. – Stoję na końcu pomostu. To ten katamaran z niebieskim stolikiem.

– Powiem ci, że nie omieszkam – przyjąłem zaproszenie.

– Weź załogę i gitarę! – rzucił, odchodząc i unosząc prawą rękę w geście pożegnania.

Wróciwszy na jacht, rzuciłem do załogi: – Dobra, czas posprzątać ten armagedon w środku po dzisiejszych przechyłach.

– Co to za miejscowy asfalt? – spytał Jarek. Wcale mnie to zainteresowanie nie zdziwiło; jak to ujął kiedyś jego najlepszy kumpel: „pierwszy chlor na dzielni”.

– Dowiesz się wieczorem i zapewne się nie rozczarujesz – odrzekłem tajemniczo.

Z przyzwyczajenia sprawdziłem jeszcze wszystkie cumy oraz odbijacze, po czym swoim zwyczajem wziąłem wędkę i poszedłem na koniec pomostu. Załoga potrzebowała trochę czasu dla siebie. Powiedziałem im, co i gdzie jest, a teraz niech sami poeksplorują.

— — —

Gęsta, brunatna orzechówka – ze względu na konsystencję nazywana przez nas „asfaltem” – wypełniła szkło. Loki, podtrzymując żeglarską tradycję, jeden kieliszek wylał za burtę, mruczając pod nosem: – Choć dzisiaj to chyba ci się nie należy. – A głośno dodał: – Za spotkanie!

Bardzo szybko obie załogi znalazły wspólne tematy i na pokładzie zrobiło się gwarno. Na zadaszeniu tarasu katamaranu dostrzegłem czarnego kota. Leniwie chłonał energię ciepłą z nagrzanego przez cały dzień dachu.

– Loki – zwróciłem się do kumpla. – Ta samobieźna kupa futra dalej z tobą pływa?

– To najlepszy załogant, jakiego miałem – rzucił z uśmiechem i potarł nos o zwierzątko.

– Skąd ty go właściwie masz? Bo chodzą o nim przeróżne opowieści – zapytałem, chcąc w końcu ustalić ostateczną wersję wydarzeń.

– Niewiele tu do opowiadania – rozpoczął Loki, rozsiadając się ze szklaneczką asfaltu. – Trzy lata temu, gdy byłem na Zlarinie i już miałem wypływać, zauważyłem, że pod szprycbudą leży futrzak. Nie chcąc wywozić kota z jego terytorium, wystawiłem go na keję i zająłem się przygotowaniami do oddania cum. Byłem już przy wyjściu z zatoki, gdy okazało się, że gadzina znów leży pod szprycbudą. – Loki przerwał na chwilę, by łyknąć orzechowego trunku. – I co było robić? Stwierdziłem, że skoro to taki spryciarz, to i na innej wyspie sobie poradzi. Okazało się jednak, że jemu wcale nie chodziło o inną wyspę, tylko o jacht! W następnej marinie owszem, poszedł sobie na spacer, ale w nocy wrócił na pokład. I tak zaczęło się nasze wspólne pływanie. Na początku wstawiłem mu do środka kuwetę, ale okazała się całkiem niepotrzebna. Nigdy nigdzie nie napaskudził. Czasem tylko bywa problem, jak w załodze trafi się ktoś z alergią. Parę razy musiał zostać w jakimś porcie, ale za każdym razem, gdy znów tam przybijałem, pojawiał się jak spod ziemi.

– A co z nim robisz w zimie? – spytałem z zaciekawieniem.

– Zostaje tutaj u moich znajomych. Skórkowaniec doskonale wie, kiedy kończy się sezon, bo sam wyprowadza się z jachtu, gdy tylko na jesieni zawinę na Prvić. Zresztą ta bimbrozja – Loki wskazał na swoją szklanę – to też stąd. Najlepsza w całej Dalmacji.

– Czy można prosić jeszcze trochę tego asfaltu? – wyrwał się Jarek. – Bo dobre to i mocne.

– Mój drogi – zwróciłem się do swojego załoganta. – Gwarantuję ci, że jedna miarka w zupełności ci wystarczy, bo inaczej jutro będziesz ten trunek bardzo niemiło wspominał.

– A jak ma na imię ten kotek? – spytała Gocha, próbując pogłaskać zwierzaka. Niekoniecznie mu się to spodobało, co objawiło się tym, że dziewczyna szybko dostała z łapy w wyciągniętą rękę.

– Normalnie – odparł Loki. – Mačka.

– Ale przecież to on! – zaprotestowała.

– Owszem, on. A po chorwacku mačka to po prostu kot. A co do tego, że to kot, chyba nie ma najmniejszych wątpliwości – odparł Loki ze swadą.

Na łódkę wróciliśmy dość późno, ale nikt nie był rozczarowany. Szczególnie Jarek, który mimo moich ostrzeżeń dostał jeszcze jedną miarkę chorwackiej orzechówki. Chyba mu posmakowała, bo umawiał się z Lokim na zakup większej ilości z samego rana.

Przypomniała mi się sentencja mojego pierwszego kapitana, Michała: „Najfajniejsze jest stanie w portach, tylko cholera... trzeba do nich dopłynąć”. Choć niekoniecznie się z tym zgadzam, to z pewnością coś w tym jest.

Warszawa 11.02.2021



Chrzanić się zaczęło jeszcze na Zatoce. Stary Opal przy szóstce kładł się na lewą burzę, a niezlokalizowana nieszczelność bulaja beztrąsko uzupełniała wodę w zęzie, co przy zepsutej pompie wymuszało ciągle machanie ręczną wajchą na deku. Choć były też pozytywy. Im więcej wody w zęzie, tym stabilniejszy stawał się jacht. Majowy wiatr nie rozpieszczał, co rusz przynosząc lodowate krople deszczu, które uparcie próbowały się zamustrować za kołnierzem sztormiaka.

– Ktoś kawę? – spytał Piękny, którego ksywa przy tej pogodzie nijak nie korespondowała z jego wyglądem.

– Zrób wiadro – odparł Czarny, wiedząc, że przed wszystkimi ciężka, zimna noc.

Północna fala co rusz zalewała pokład. Ciągłe omywanie gumowców powodowało nieprzyjemne odczucie zimna w stopach. Czarny nie cierpiał takiej pogody, ale gdy się powie A, trzeba powiedzieć B. Obiecał rejs na trzydziestolecie pierwszej wyprawy. Po prawdzie z pierwszej ekipy udało się zebrać tylko pięciu chłopów, ale

to i tak dużo. Na pierwszym rejsie było ich siedmiu i właściwie nie wiedzieli o morzu. Dziś trzech ze starej ekipy pływało regularnie. Reszta też nie odpuściła, ale bawiła się w żeglarstwo raczej rekreacyjnie.

– Przydałby się automat – rzucił spod kaptura Czarny, wzdychając do współczesnych jachtów wyposażonych w maszynię, która potrafi sama utrzymać kurs. – Załóżcie pierwszy ref i spadajcie pod pokład – zaordynował. – Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy marzli i mokli.

Chłopakom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pomidor z Dzikim złapali za bom, a Mandaryn zaczął się powoli przesuwając wzdłuż burty do windy fałowej. Po kilkunastu minutach i kilkudziesięciu niecenzuralnych tekstach łódka przestała iść w tak dużym przechyle. Okazało się, że ten ruch wystarczył, by napływ wody do jachtu całkowicie ustał.

Tuż przed północą za rufą został Hel i oficjalnie piątka przyjaciół wyszła na Bałtyk.

– Dobra chłopaki – zaczął Mandaryn, luzując Pomidora za sterem.
– Pociągnę z dwie godzinki, a wy ustalcie, kto następny.

Wiatr jakby lekko osłabł, a do tego wreszcie przestało padać. Jednak temperatura spadła do dwunastu stopni. Dziki z namaszczeniem zaczął przygotowywać kawę na nocną wachtę, napełniając dwulitrowy termos czarnym naparem. Reszta zaczęła zrzucać sztormiaki i mościła koje na nocny odpoczynek.

Czarny, poczuwając się do funkcji kapitana, zaordynował bez żadnych ustaleń: – Ja biorę następną wachtę, a potem może Dziki posiedzi?

– Nie ma problemu – rzucił Dziki, rozsuwając swój śpiwór. – A po mnie obudzę Pomidora – dodał, wykrzywiając się do rumianego kolegi.

– – –

Klaus, jak co dzień, rozsiadł się przed całą ścianą monitorów, rozpoczynając kolejną, ośmiodzinną zmianę. Od prawie pięciu lat jego praca polegała na pochłanianiu kilku książek w tygodniu i, teoretycznie, obserwowaniu tego, co dzieje się na ekranach dziesięciu monitorów. Już w pierwszym miesiącu pracy zrozumiał, że tu się nic nie dzieje. Friedrich-Loeffler-Institut był placówką naukową na wyspie Riems. Od ponad stu lat zajmował się wszelkimi paskudnymi rzeczami: wirusami, bakteriami, chorobami i innym badziewiem. Kiedy zaczynał pracę, miał lekkie obawy, jednak gdy poznał system zabezpieczeń, zrozumiał, że nic mu nie grozi, a prawdopodobieństwo, że może coś złapać, jest równe zeru.

– Jak tam twoja stara? – odezwał się zza pleców Klausa Ivan. Od pewnego czasu kolega z obchodów wpadał do niego na kawę po obejściu całego terenu.

– A dzięki, dobrze. Wyobraź sobie, że wymyśliła remont kuchni i od dwóch dni wybiera kafelki. W tym tempie mogę być spokojny do

następnej zimy – odpowiedział Klaus i razem z Ivanem roześmiali się głośno.

– Stawiaj smołę – dodał rozbawiony Ivan – bo muszę jeszcze sprawdzić jedną rzecz.

Gdy obaj zasiedli za zdezelowanym, stalowym biurkiem, Ivan sprawiał wrażenie zamyślnego. – Co cię tam trapi, stary? – spytał Klaus.

Ivan jakby obudzony ze snu, w pierwszej chwili nie zrozumiał pytania kolegi. Gdy się już poskładał, rzucił krótko: – Mógłbyś mi poszukać odcinka C-12 z poprzedniej nocy?

– Pewnie – odparł Klaus, obracając się do pulpitu sterowania. – A co się dzieje?

– Hmm... – zaczął Ivan. – Pewnie nic, ale znalazłem nacięte ogrodzenie. Może to tylko jakieś uszkodzenie ze starości, ale jakoś mnie to męczy.

— — —

Ból wreszcie ustał. Uczucie wbijanych igieł spowodowane lodowatą wodą też jakby mijało. Od dłuższego czasu nie był w stanie ostro widzieć. Zmniejszanie się ilości światła mogło być zmrokiem, ale równie dobrze mogło być wywołane jego stanem. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, cały ból przeszedł. Ciało przestało drżeć. Poczłł błogość i niczym się już nie martwił. Odpływał – dosłownie i w

przenośni. Świat stawał się coraz ciemniejszy, aż całkiem zniknął. Nic już nie istniało.

— — —

Wczesnym rankiem Dziki, starym zwyczajem, zakrzyknął zza steru: – Łąd na horyzoncie!

Rzeczywiście, z porannej mgły zaczął wyłaniać się Bornholm. Płaskie, wschodnie wybrzeże zieleniło się w słońcu. Po wczorajszych deszczach nie został nawet ślad. Delikatna czwórka popychała Opala na pojedynczym sztakslu.

– Jajecznicza? – padło pytanie spod pokładu. Wielogłosowy pomruk zadowolenia oznaczał brak sprzeciwu, a wręcz ogólną aprobatę. Stary, wysłużony kardan, na którym wisiała kuchenka, skrzypiał na każdej fali, ale taki to już urok wiekowych, drewnianych jachtów.

– Stajemy na Bornholmie? – spytał Mandaryn, wychodząc na pokład rozczochrany i zaspany.

– Myślę, że lepiej pociągnąć dalej. Znam w Niemczech fajną małą marinę, gdzie dają zawałiste piwo.

– I tu mnie przekonałeś – odparł Mandaryn i roziewał się pełną paszczą.

– Kiedyś znajomy mi pokazał Stahlbrode i bywam tam często – wtrącił Dziki.

– Ja, ja! – doleciało spod pokładu. Czarny znad jajeczniczy dodał: – Znam, znam, słusznie prawisz, Dziki.

Na małej fali i przy słabym wietrze Opal niemiłosiernie skrzypiał. Coś, co jeszcze wczoraj było przyjemną muzyką, po dobie w morzu zaczynało denerwować. Czarny wiedział jednak, że jeszcze trochę czasu i człowiek przyzwyczai się do tego stopnia, że przestanie te dźwięki zauważać.

– W nocy mi dziobowe przerywało – orzekł rzeczowo Pomidor, sadowiąc się na deku.

– No to nie opowiadaj, tylko włącz do nory i napraw – skwitował Dziki.

– Po śniadaniu – odpowiedział Pomidor. – Na pusto nie robię.

– – –

– Panie komendancie, już to mówiłam – z lekkim zniecierpliwieniem powtarzała korpulentna blondynka. – Wczoraj mój mąż poszedł na ryby i od tego czasu go nie widziałam. Mieszkamy na Riems. Przyjechaliśmy tu tylko na parę dni, bo ten mój głupek się uparł, że tu najlepiej biorą. Zawsze wracał nad ranem, ale dziś nigdzie nie mogę go znaleźć.

– Może poszedł do baru i odsypia nocne pijaństwo w jakimś rowie? – rzeczowo spytał komendant policji w Gristow.

– To nie mój chłop – skwitowała blondynka. – On jak idzie na ryby, to nic innego nie istnieje. Może jakby przyjechał z kolegami, ale był sam.

– Dobrze – zakończył komendant. – Wyślę patrol, żeby sprawdził nabrzeże Riems. Może coś znajdą.

— — —

– Zrzucamy szmaty – rzucił Czarny zza steru i odpalił starą dobrą Pentę. Silnik stęknął, ale zaskoczył. Jak na swój wiek, pracował w miarę równo. Mandaryn i Dziki uwinęli się z żaglami w kilka minut. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem. Wewnątrz zatoki morze wypłaszczyło się prawie całkowicie.

– Pięknie tu – rzucił Mandaryn, przyglądając się wyłaniającej się po lewej stronie wyspie.

– Czarny, kręć w lewo! – krzyknął Pomidor układający na dziobie foka. – Coś dużego mamy na kursie! – rzucił i z zainteresowaniem zaczął się przyglądać czemuś przed dziobem.

– To człowiek – powiedział cicho, stojąc tyłem do wszystkich. – Trup... Już zaczął puchnąć – dodał, nie odwracając się.

– Nie mogę w lewo, za płytko! – krzyknął Czarny i wykręcił w prawo na burt.

Zwłoki znalazły się niecałe dwa metry od burty. Sina, brodata twarz patrzyła niewidzącymi oczami ku niebu.

– Zostawmy go, już mu nie pomożemy, a cholera wie, co policja znajdzie – skwitował Mandaryn. – Idę na radio, wezwać służby. Zszedł do kajuty i zaczął wywoływać straż wybrzeża. Nim skończył wyjaśnienia, na południe od Opala pojawiła się policyjna motorówka.

– Już płyną – stwierdził, wychodząc na pokład. – Trochę się tylko zdziwiłem, bo powiedzieli, że mamy się nie zbliżać do zwłok.

Wszyscy ze zdziwieniem popatrzyli po sobie. W ciągu kilkunastu minut biała łódź motorowa dotarła na miejsce znaleziska. Najdziwniejsze jednak było to, że cała jej obsada była ubrana w jakieś kosmiczne skafandry i strasznie cyrgolili się z podjęciem topielca.

– O co tu chodzi? – spytał, jakby trochę retorycznie, Dziki.

– Dowiemy się w marinie – uciął rzeczowo Czarny.

Nim podali cumy, zauważyli dwóch niemieckich policjantów czekających na zejściu z pomostu.

– Dzień dobry panom – zaczął po angielsku jeden z mundurowych.
– A właściwie dobry wieczór.

– Nie wiem, czy taki dobry – rzucił Czarny. – Gdy znajduje się topielca.

– No tak... – potwierdził z zakłopotaniem policjant. – Prowadzimy śledztwo w sprawie osoby, którą znaleźliście na wodzie, i musimy was przesłuchać.

– Nie ma problemu – odparł Czarny, kładąc trap na rufie.

Policjanci poszli dopiero po dwóch godzinach, wypytując o każdy szczegół, włącznie z tym, kiedy wypłynęli z Gdyni. Chłopaki zdążyli się w międzyczasie ogarnąć i z utęsknieniem czekali, by pójść do knajpy na dobrą kolację i piwo.

— — —

Rudolf Hanke swoim codziennym zwyczajem, odkąd przeszedł na emeryturę w wieku czterdziestu lat, leżał na leżaku z puszką piwa w rękę i gapił się na zachodzące słońce. Z leniwego błogostanu wyrwała go komórka leżąca na stoliku.

— Hanke — rzucił zniesmaczony i lekko poirytowany. Po chwili, gdy wysłuchał osoby dzwoniącej, odparł całkiem innym tonem: — Już jadę.

— — —

— Puść mi to jeszcze raz — poprosił Ivan, gapiąc się na pierwszy ekran na lewo od konsoli. — To na dole to godzina i data? Tak? — dopytywał.

Klaus bez żadnej ekscytacji, nie odrywając wzroku od książki, wydał dźwięk, który można było przyjąć za potwierdzenie. Trochę go wkurzało, że Ivan uparł się na przeglądanie nocnych zapisów, podczas gdy on czytał naprawdę dobry kryminał.

– Chodź, popatrz – odezwał się znów Ivan, szturchając Klausa w ramię.

Lekko ociągając się, ze znudzonym wzrokiem spojrzał na ekran. W prawym dolnym rogu, tuż przy ogrodzeniu, coś się ruszało, aby za chwilę pobiec w stronę wody.

– Pewnie jakieś zwierzę – skwitował głosem znawcy. – Pełno się tego tu kręci – dodał znudzony.

Ivan wcisnął dwa klawisze na konsoli i pokazał palcem na ekran. – Popatrz teraz – odrzekł tryumfalnie. – To nagranie z kamery wewnętrznej, piętnaście sekund wcześniej.

Dokładnie przez sam środek ekranu jakieś niewielkie zwierzę pędziło w stronę ogrodzenia.

– Ja pier... – nie dokończył Klaus i złapał za telefon. – Tu Klaus z ochrony – rzucił służbowo. – Czy mogę rozmawiać z profesorem Shantego? Tak, tak, poczekam... – dodał po chwili. – Nie wiem, co to jest – powiedział w stronę Ivana, czekając na połączenie. – Ale coś czuję, że będzie dym.

— — —

– Czas zgonu? – rzeczowo spytał Hanke małego, łysiego patologa. Wykafelkowane prosektorium raczej nie było przystosowane do sekcji tak dużych organizmów jak człowiek, ale po małym przemeblowaniu udało się jakoś pomieścić topielca.

– Trudno ustalić precyzyjnie, bo ciało w zimnej wodzie zachowuje się trochę niestandardowo, ale szacuję, że pomiędzy trzecią a czwartą w nocy.

– Jakies obrażenia? – dopytywał Hanke.

– Tylko lekko pogryziona łydka, ale od tego się nie umiera – odparł patolog z widocznym zakłopotaniem w głosie.

– Coś we krwi? – śledczy wypalił kolejne pytanie.

– Będzie wiadomo za godzinę – wyskrzeczwał mały człowieczek, wykrzywiając usta.

Hanke wyszedł z zimnego prosektorium bezpośrednio na wewnątrz dziedziniec instytutu. Mimo połowy maja wiatr był nieprzyjemnie zimny i niemiłosiernie smagał twarz. „W tym prosektorium było chyba cieplej” – pomyślał. Jednak jego głowę zajmowała sprawa topielca. Przez ponad piętnaście lat zajmował się prawie wyłącznie sprawami związanymi z instytutem. Parę razy zdarzyło się, że jakiś nieogarnięty pracownik spowodował zakażenie kogoś bliskiego. Były też przypadki niepoprawnej utylizacji odpadów z instytutu. Jego wykształcenie biologiczne i magisterka z prawa pozwalały mu dość szybko zażegnać ewentualne problemy. Tym razem, mimo że był już na emeryturze, komendant policji zadzwonił najpierw do niego.

– Co tym razem? – pomyślał i zaczął się zastanawiać, czy przez przypadek nie powiedział tego na głos.

– Pan się nazywa Hanke? – Wysoki mężczyzna z lekką nadwagą wyglądał na strażnika.

– Tak – odrzekł. – W czym mogę pomóc? – spytał zadowolony.

– Profesor Shantego powiedział, że znajdzie pana w okolicach prosektorium – odrzekł strażnik, szczerząc zęby.

– A co ten stary cap ma wspólnego z tym przypadkiem? – spytał Hanke kąśliwie. Znał doskonale profesora i zdawał sobie sprawę, że ten wielokrotnie ratował mu dupsko po różnych „incydentach”, jak nazywał je naukowiec. Prywatnie darzyli się jednak czymś w rodzaju męskiej, szorstkiej przyjaźni.

– Pan profesor – z lekkim zażenowaniem zaczął strażnik – powiedział, abym panu coś pokazał.

– No to prowadź – zaordynował Hanke z lekkim zaciekawieniem.
– Jak masz na imię?

– Klaus, proszę pana.

– Rudolf – rzucił Hanke, wyciągając dłoń w kierunku strażnika.

Gdy dotarli do pokoju monitoringu, Ivan miał już przygotowane całe przedstawienie i bez żadnych wstępów zaczął pokazywać nagrania i je opisywać. Hanke słuchał i analizował. Kolejny klocek wylądował na swoim miejscu w całej układance.

– Dziękuję, panowie, bardzo pomogliście w dochodzeniu – służbowo odezwał się Hanke i bez żadnych dalszych wyjaśnień wyszedł na zewnątrz.

– Na czym wy tam teraz testujecie? – rzucił krótko do telefonu, gdy już się upewnił, że nikt nie słucha. – Na fretkach? – ze zdziwieniem krzyknął do słuchawki. – Możecie policzyć te swoje... –

Przerwał na chwilę, by przypomnieć sobie, jak naukowcy nazywali obiekty badań. – ...przykłady? Dobra, czekam – dodał i się rozłączył.

— — —

– Panowie, za spotkanie! – wyrzucił z siebie Czarny, podnosząc kufel złocistego napoju.

Wszyscy stuknęli się szkłem i z radością zaczęli saczyć zacny trunek. Nim zdążyli upić większy łyk, w drzwiach knajpy pojawiło się czterech osobników ubranych w zielone kombinezony. Jeden z przybyłych wskazał ich stolik palcem.

– Panowie pójdą z nami – odezwał się niewielki mężczyzna w kombinezonie.

Chłopaki popatrzyli po sobie ze zdziwieniem, jednak nim zdążyli zaprotestować, mały człowieczek wyjaśnił: – Chodzi o tego topielca. Jeśli nie pójdziecie dobrowolnie, będziemy zmuszeni was aresztować.

Pierwszy zareagował Czarny: – Panowie, chyba nie mamy innego wyjścia. Potraktujmy to jako kolejną przygodę.

– Ale piwo biorę ze sobą – rzucił Mandaryn, przyciskając kufel do piersi, czym nieco rozładował atmosferę.

Wszyscy zostali przewiezieni do białego, zimnego pomieszczenia w jakimś ośrodku ogrodzonym drutem kolczastym. Po kilku minutach pojawił się wielki gość z miną, która mówiła, że nie warto z nim zadzierać.

– Nazywam się Rudolf Hanke – zaczął. – Znajdujecie się tutaj dla waszego bezpieczeństwa. Jesteśmy w instytucie zajmującym się chorobami zakaźnymi i wygląda na to, że mogliście mieć kontakt z człowiekiem pogryzionym przez jedno ze zwierząt, które niestety uciekło z laboratorium.

– A czułem, żeby go nie ruszać – szepnął Mandaryn.

– Po angielsku albo po niemiecku! – szczechnął Hanke.

– Kolega tylko stwierdził, że cieszy się, że nie podebraliśmy go na pokład – wyjaśnił Czarny.

– Jeśli tak, to macie szczęście – odparł Hanke. – Jednak będziemy musieli zrobić wam badania krwi dla pewności.

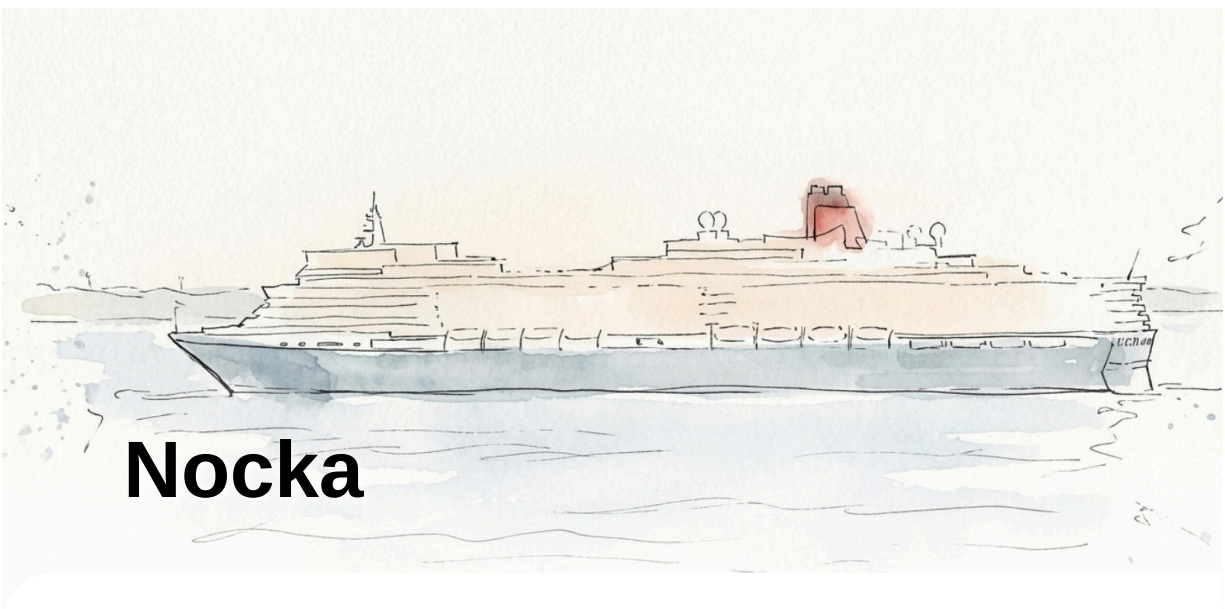
Cała procedura trwała ponad trzy godziny. Na koniec zostali odwiezieni na swój jacht.

– Polubiłem tego Hankego – stwierdził Mandaryn, otwierając pierwsze piwo ze skrzynki stojącej na deku. Inni poszli jego śladem. Rudolf Hanke okazał się w porządku gościem. Gdy wyjaśniło się, że nic im nie grozi, kazał odwieźć ich z powrotem na jacht i dorzucił skrzynkę przedniego piwa.

– To co? Za cudowne ocalenie? – zaproponował Czarny. Wszyscy stuknęli się butelkami. – I powiem wam – dodał – że chyba jednak będę już omijał tę marinę.

– No i tym razem, chyba serio za cudowne ocalenie – dodał Dziki.
– Jutro lecimy na północ. Już lepsze zimno i wiatr niż jakiś zjadliwy bakcyl.

Warszawa 15.06.2021



Nocka

Lepki, zimny wiatr co rusz zakradał się za kołnierz mojego sztormiaka. Ręce grabiały z minuty na minutę. Niby kwiecień, ale nocka na fali gdzieś pomiędzy Sycylią a Włochami bywa przeraźliwie mokra i zimna. Klakier obiecał, że zmieni mnie za godzinę. Od tego czasu minęły już cztery i jakoś nie było widać na deku tej nieogolonej gęby. Ja rozumiem – dziewczyna, ciepło, kabina, ale mogłby wreszcie dać zmianę.

AIS znów wydał syreni dźwięk, więc skoczyłem pod pokład sprawdzić, kto i kiedy zamierza mnie rozjechać. No tak, kurs kolizyjny. Spotkanie za osiem minut. Hmmm, i to mnie jakoś tknęło.

– Jak to za osiem minut? – wymamrotałem pod nosem pomiędzy szczęknięciami zębów.

Sprawdziłem jeszcze raz. Coś się zmieniło, ale nie na lepsze. Kolizja za siedem minut i trzydzieści dwie sekundy.

Gdy kliknąłem na tego skurczybyka, zdałem sobie sprawę, że to coś popinkala trzydzieści węzłów. Cholera, kolejny cruiser próbuje

mnie rozjechać. Już miałem wyskoczyć na dek i skorygować kurs, gdy zaskrzeczało radio. Pewnie nawet bym się nie wsłuchiwał, bo na gadulcu wciąż było słychać rozmowy włoskich rybaków, gdyby nie fakt, że pomiędzy trzaskami usłyszałem „Billa, Billa” – czyli wyrazik, który wyskrobali na mojej rufie. No i zacząłem rozkminiać dylemat: pędzić na dek, by zmienić kurs, czy odezwać się na wywołanie. W tym momencie mnie olśniło. Capnąłem ręczne radio i popędziłem na górę, w przelocie dostrzegając, że zostało mi pięć minut.

Zgłosiłem się... no właśnie, dopiero na deku dotarło do mnie, że wywołuje mnie jednostka, która jest ze mną na kursie kolizyjnym, a w dodatku jej nazwa to „Queen Mary 2”. Trochę mnie zatkało. To tak, jakby słoń chciał coś ustalić z mrówką, która stanęła mu na drodze.

Damski głos w radiu poinformował mnie, że rzeczony słoń zmieni kurs o dwa stopnie i powinniśmy się wyminąć w odległości czterech, pięciu kabli. Podziękowałem ładnie i podnosząc głowę, zobaczyłem poprzez siąpiący deszcz łunę światła dziesięć stopni od dziobu. Dla pewności zeskoczyłem pod pokład sprawdzić, czy Królowa zrobiła, co obiecała.

Po kilku minutach, w odległości zaledwie trzystu metrów, przepływał obok mnie wieżowiec. A tam wieżowiec – raczej superwieżowiec, ze trzy razy większy od tych normalnych. Prawie trzysta pięćdziesiąt metrów długości i siedemdziesiąt wysokości. By dostrzec najwyższe pokłady, musiałem nieźle zadzierać głowę. Choć nie lubię takich jednostek, szczególnie gdy gnają na mnie kursem kolizyjnym, to to, co miałem za burtą, budziło szacunek i podziw. Pewnie w porcie też robiłoby wrażenie, ale ciemną nocą zobaczyć

takiego olbrzyma na środku wody, oświetlonego jak choinka, to naprawdę coś niesamowitego. Osobnym zaskoczeniem było to, że słoń miał ochotę zauważyć mrówkę. Szacun dla słońa.

Gdy Królowa zaczęła znikać za rufą, z pewną nieśmiałością wzięłem radio i podziękowałem za korektę kursu. Pani radiooperator życzyła mi spokojnej nocy. Wyobraziłem sobie ciepłą, miłą kabinę i sympatyczną panią dzierżącą słuchawkę radia. Choć może z tą wizją trochę mnie poniosło.

– Z kim ty gadasz po nocach przez radio? – głos był zaspany i trochę nieprzytomny. Jego wysokość Klakier wstał. – Tak się dobrze spało, a jakiś idiota w pewnym momencie zaczął latać góra-dół – narzekał dalej.

– Miałeś mnie zmienić godzinę temu – odparłem mimochodem.

– No to właśnie cię zmieniam – bezczelnie odparł Klakier i zszedł zrobić kawę.

Normalnie pewnie bym pomarudził i powypominał mojemu zmiennikowi brak słowności. Jednak tym razem jakoś mi się nie chciało. Nawet deszcz przestał mżyć. Spoglądając na zegarek, uświadomiłem sobie, że do świtu została godzina. Spojrzałem na wschód, gdzie niebo powoli się rozjaśniało, a chmury jakby ze wstydem ustępowały słońcu miejsca na firmamencie.

Będzie fajny wschód słońca. Szkoda się kłaść – pomyślałem.

Gdy Klakier przyniósł parujący kubek czarnego złota, senność odeszła całkowicie.

– Co to za bydle nas mijало? – odezwał się mój zmiennik, posiorbując gorącą kawę.

– Jak ci powiem, to i tak nie uwierzysz. Zobacz na AIS – rzuciłem zdawkowo.

Klakier zaciągnął wyżej zamek kurtki i zapatrzył się w horyzont, gdzie wciąż było widać wielką górę światła.

– Idź spać, ja posiedzę.

– Teraz to już mi się nie chce, poczekam do wschodu.

– Jeśli taka waćpana ochota, to siedź.

Wesoły plusk fali o burtę rytmicznie wybijał kolejne sekundy rejsu. Czasem nie warto się spinać. Lepiej brać to, co daje morze... i płynąć dalej.



Potwory

Za rufą powoli, ale nieubłaganie znikало Zakintos. Niemalą pomoc w tym znikaniu miał nadciągający ze wschodu mrok. Szliśmy na północny wschód elegancką połówką. Lekkie skrzypienie takielunku w pełni synchronizowało się z każdą nadchodzącą z zachodu falą. Gdy wybierasz się na parogodzinną przejażdżkę, nie szukasz sobie jakiegoś wyjątkowo wygodnego miejsca na deku. Raczej starasz się być wszędzie. Wszystko zobaczyć. Niczego nie przeoczyć. Jednak gdy masz przed sobą co najmniej dobrą żeglowania, a twoim celem jest zacny i starożytny Korynt, sprawy wyglądają inaczej. Już zawczasu sprawdzasz najlepsze miejsca na pokładzie. Zaciszne kąty, do których umykasz, gdy wiosenny, zimny wiatr da za bardzo w kość.

– Ktoś chętny na kawę? – w swej dobroduszości zaproponował Michał.

Z lekkim opóźnieniem, ale bez żadnych zbędnych słów, w górę powędrowało pięć kończyn, oznajmiając gestem chęć doładowania akumulatorów czarnym naparem.

– Tylko mi czymś rozcieńcz tę twoją smołę – rzuciła Grażka. – Albo przynajmniej nie dodawaj cukru.

Michał zarejestrował prośbę, mimowolnie krzywiąc się na myśl o niesłodkiej kawie.

– Nawet kilku ziarenek trzcinowego? – spytał jeszcze z nadzieją.

– Nie – padło niczym rozkaz.

Mrok nadciągał nieubłagane, a wraz z nim nocny chłód, który potrafił się wśliznąć niemal w każdy zakątek garderoby. Ruszyłem pod pokład, by zabezpieczyć się przed zdradliwą temperaturą. Mając doświadczenie z poprzednich nocy, byłem niemal pewny, że wschód słońca będzie moim udziałem.

Wychodząc w pełnym rynsztunku na dek, dosłyszałem tylko fragment dyskusji: – ...i te wszystkie cyklopy, stwory i gryfy. Ci Grecy musieli mieć niezłą wyobraźnię – zakończył Grzechu.

– A może one naprawdę istniały, a przynajmniej jakieś podobne? – upierała się Grażka. – Skąd wiadomo, że coś nie przetrwało?

– Legendy i baśnie nie biorą się znikąd – jakby od niechcenia zadudnił swoim basem Michał. – W każdej bajce jest ziarno prawdy, jak to mówią ludziska.

– No o tym mówię... – zapiekłe parowała Grażka.

Michał podniósł powoli otwartą dłoń, jakby chciał powiedzieć, że jeszcze nie skończył. Z namaszczeniem wziął łyk samodzielnie sporządzonego smolistego naparu i ciągnął dalej:

– Czasem, gdy dopadnie mnie organiczna niechęć do roboty, co, przyznam, zdarza mi się często, oglądam różne filmiki na YouTube. Jakiś rok temu trafiłem na film o pewnej pani profesor, którą też męczyło, skąd Grecy wydobywali te wszystkie stwory. Wyleciało mi z głowy jej nazwisko, ale jeden fakt zapadł mi w pamięć. Na wyspie Samos, tuż pod wybrzeżem tureckim, często zdarzają się trzęsienia ziemi. Nie jakieś wielkie, ale dość częste. Za czasów pierwszych Greków nie było inaczej. Te trzęsienia odsłaniają często kości prehistorycznych zwierząt. Choć tak nie do końca prehistorycznych. Mowa o takich stworzeniach jak mastodonty, które łąziły po tym łoż padole jeszcze kilkanaście tysięcy lat temu. Wyobraźcie sobie prymitywnego Greka, który znajduje kość udową takiego stworzenia, większą od niego samego. – Michał przerwał na chwilę, by odpalić papierosa. – I taki Grek przywłókł rzeczoną kość do miasta. Niezbity dowód na istnienie olbrzymów! Ba, gnata od razu umieszczono w świątyni, by z biegiem czasu stał się relikwią. Gdy pani profesor zorientowała się, że jeszcze nikt w świecie nauki nie popatrzył na problem z tej strony, zaczęła dłużyć dalej. Gdy przyjrzała się czaszce mastodonta – stworzenia podobnego do słonia, jednak znacznie większego – zauważyła, że stwór ten ma w czaszce duży otwór pośrodku, który był pozostałością po mocowaniu trąby, a oczodoły całkiem z boku, raczej tam, gdzie uszy, niż oczy. Czy coś już wam świta? – zapytał, przechylając kubek, by wypić resztkę kawy.

– Cyklopy – rzucił Grzechu, nie odrywając wzroku od horyzontu.

– Piwa mu! – zadudnił Michał. – Dokładnie tak. W ten sam sposób zidentyfikowała gryfy, pegazy i inne mityczne stwory. Nie wiem, czy

to jest wyjaśnienie ostateczne, ale do mnie to przemawia – zakończył, wylewając resztkę kawy za burtę.

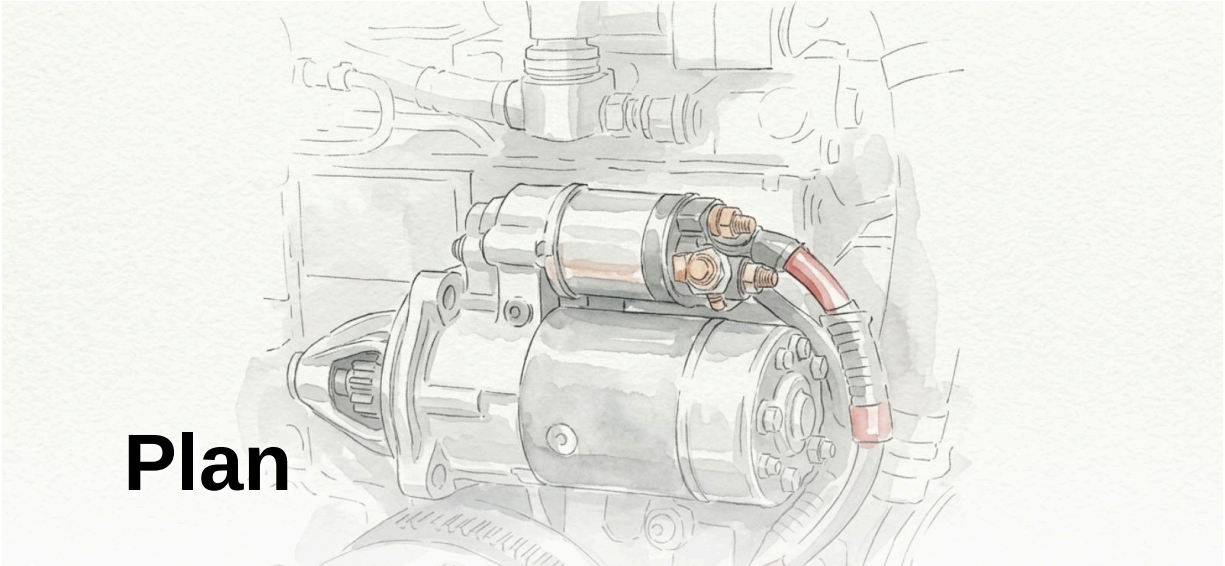
– To ma sens – stwierdziła po krótkim namyśle Grażka. – Ludzie jednak potrafią dorobić teorię do wszystkiego.

– Masz na myśli Greków, czy panią profesor? – spytał rechocząc Grzechu.

– Raczej Greków, choć pani profesor też mogłoby to dotyczyć.

Długo jeszcze trwała dyskusja o mitologii, ludzkiej naturze, marzeniach i wyobraźni. Dopiero grubo po północy wszyscy rozeszli się do kabin. Gdy zgasło światło w mesie, oczy powoli zaczęły przyzwyczajać się do mroku. Nad sobą miałem miliony gwiazd. Przyszło mi wtedy do głowy, że patrząc w niebo, trudno się dziwić, iż ludzie pragnęli jakoś to wszystko wyjaśnić, opisać i zrozumieć. Może to wszystko mity i baśnie, ja jednak z pokorą słuchałem muzyki Posejdona, miarowo uderzającej o burtę jachtu.

Warszawa 26.10.2020 r.



Plan

– Grunt to mieć dobry plan – orzekł z wyższością Kędzior, podsumowując dyskusję na temat tanich lotów i terminów rejsów.

Już ponad dobę urzędowaliśmy na naszej „Rosie” w centrum Valletty. Chcąc nieco ograniczyć koszty, przylecieliśmy dwa dni wcześniej, wiedząc, że mamy wolną łódkę. Wyprawa kroić się przednia. Mieliśmy dwa tygodnie na przeprowadzenie naszego tymczasowego domu z Malty do Aten. Mając tyle czasu, zaplanowaliśmy płynięcie przez Sycylię, Włochy i Kanał Koryncki. Właściwie moglibyśmy wypłynąć wcześniej, jednak brakowało jeszcze jednego załoganta. Miał przylecieć pojutrze rano. Oczywiście nikt nie zamierzał siedzieć na łodzi w czasie oczekiwania. Ekipa ruszyła na zwiedzanie wyspy. Tylko ja i Kędzior zostaliśmy na łajbie, bo ile razy można się włóczyć po tych samych miejscach.

Poranek jak zwykle wygonił mnie z kabiny z pierwszymi promieniami słońca. Na palcach, uważając na skrzypiące gretingi, w kilka minut udało mi się wyprodukować kubek czarnego złota. Wiał lekki, ciepły wiatr z południa. Wzmocniony porządną kawą, zabrałem

wędkę i poszedłem sprawdzić, czy coś żyje w tych portowych wodach. Po kilkunastu minutach w kieszeni zadrżał telefon.

– Co tam, Kędzior? Już wstałeś? – rzuciłem do słuchawki.

– Zbieraj graty i wracaj. Dzwonił ten gość, co miał przylecieć, że nie da rady, więc przypinamy wrotki i zmykamy.

Trochę rozdarty emocjonalnie, poskładałem wędkę i ruszyłem w kierunku jachtu. Z jednej strony miałem nadzieję z godzinę powalczyć z rybami, ale myśl o szybkim wypłynięciu też kusiła. Po powrocie na łódź okazało się, że mnie przypadnie oddanie wszystkiego w biurze mariny i poinformowanie o wypłynięciu.

– Dobra, ludziska. Macie dwadzieścia minut na ogarnięcie rzeczy poza mariną, bo jak oddamy pestkę, to już nie wejdziecie do środka.

Gdy wróciłem, Kędzior skończył właśnie obchód jachtu. Przed całą dobą do Ragusy lepiej nie pozostawiać niczego przypadkowi.

– Wskakuj. Najwyższy czas startować.

Gdy zszedłem pod pokład zostawić nasze papiery w nawigacyjnym, usłyszałem ciche kliknięcie rozrusznika. Jednak po nim nasz Yanmar nie zadudnił swoim ciężkim basem. Milczał jak zakłęty.

– No to mamy problem – pomyślałem. Kędzior spróbował jeszcze raz i poza cichym kliknięciem nic się nie stało. Oczywiście poza długą i rozbudowaną wiąchą przekleństw wydobywających się z pokładu. Gdy już zostały obrażone wszystkie osoby, włącznie z

konstruktor jachtu, Kędzior zszedł na dół i otworzył komorę silnika.

Nie minęło dziesięć minut, gdy konsylium złożone z czterech członków załogi, nie wliczając mnie, orzekło jednomyślnie, że coś się zepsuło i sami tego nie naprawimy.

– Gdy byłem w biurze mariny, widziałem serwis Yanmara na końcu ulicy – rzuciłem w zamyśleniu.

– No to trzeba się do nich udać – zawyrokował Kędzior.

Negocjacje z pracownikiem serwisu trwały niemal pół godziny. Najpierw dowiedziałem się, że ktoś może zajrzeć jutro. Po rzeczonyj połowie godziny byłem już na etapie ewentualnej usługi poza kolejnością i poza godzinami pracy. Jak to u wszystkich południowców, trzeba było się trochę pogimnastykować, żeby ktoś zainteresował się problemem teraz, a nie w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Załoga stwierdziła, że jeśli i tak dziś nigdzie nie płyniemy, to oni ruszają na dłuższą eskapadę po wyspie. Ja zostałem na warcie, czekając na serwisanta.

Wczesnym popołudniem pojawił się niepozorny gość. Niczym wyrefinowany szpieg wszedł na pokład i dramatycznym szeptem stwierdził, że miał tu ogarnąć jakiś silnik. Trochę się zdziwiłem, że nie ma ze sobą nawet śrubokręta, ale wyglądał uczciwie, więc zaprowadziłem go pod pokład. Mechanik sprawnym ruchem zanurkował pod schodnię i przez kilka minut było słychać tylko stękanie, cmokanie i coś jakby jęki. Gdy już się wynurzył z czeluści

silnikowych, łamaną angielszczyzną stwierdził, że silnik dobry, alternator kaput, i bez żadnych wyjaśnień oddalił się w kierunku wyjścia z mariny.

Gdy już otrząsnąłem się ze zdziwienia, dotarło do mnie, że chyba będę musiał udać się do warsztatu ponownie. Stawiając pierwsze kroki na kei, dostrzegłem innego gościa w ubraniu roboczym i z wielką torbą, idącego spokojnie w moim kierunku. Czekałem. Gość stanął przed naszym jachtem i z palcem wycelowanym w nadbudówkę stwierdził w wolnym tłumaczeniu: „Twoja statka?”. Kiwnąłem głową i przepuściłem gościa przodem. Po niespełna dwudziestu minutach i kilku słowach z pewnością po maltańsku uznawanych za obelżywe, pan w niebieskim uniformie i z uśmiechem na nieogolonej twarzy opuścił nasz jacht, dzierżąc w dłoniach rozrusznik. Nauczony nie wnikać zbyt głęboko w logikę południowców, poszedłem zaparzyć kawy w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń.

Gdy wychodziłem z kubkiem parującego napoju na dek, na naszym trapie pojawił się gość z pierwszych odwiedzin.

– Twoja część zepsuta – zaczął bez powitania. – Trzeba zamówić nową – zakończył.

Przechodząc na tryb uproszczonej konwersacji językowej, spytałem krótko: – Kiedy będzie?

Gość długo drapał się po swej czarnej czuprynie i widziałem, że jest jakaś nadzieja, tylko ma problem z wypowiedzią.

Niepewnie zapytałem: – Ty możesz inaczej?

Gość poczekał, aż jego wewnętrzny translator zaskoczy i przetłumaczy proste pytanie. Nagle zaczął kiwać głową, próbując coś wyjaśnić.

– Ja naprawa... jutro rano. Sto euro. Jutro – wyjaśnił, jak potrafił.

Próbowałem się jeszcze targować, choć widziałem, że nic z tego nie będzie. Na koniec chwyciłem jego dłoń i stwierdziłem: – OK, do jutra.

Z wyraźną ulgą na twarzy mój adwersarz udał się w kierunku warsztatu. Wziąłem do ręki telefon i wybrałem numer Kędziora.

– Jutro rano zrobią rozrusznik. Gość chce sto euro i nie chce negocjować.

– I dobrze. Za nowy trzeba by wybulić dużo więcej – stwierdził ze słyszalną ulgą w głosie.

Kolejny poranek na Malcie był stanowczo mniej sympatyczny niż poprzedni. Ciężkie chmury wisiały niemal na wyciągnięcie ręki, jednak co się dziwić – toż to dopiero początek maja. Wszyscy od rana czekaliśmy na umówioną naprawę. Gdy minęła jedenasta, Kędzior postanowił wysłać mnie do warsztatu, by sprawdzić, czy jest jakaś szansa. Gościa, który wykrcił rozrusznik, spotkałem przy bramce mariny, konwersującego z jakimś właścicielem łodzi.

– Ja być za minutę – rzucił, gdy mnie rozpoznał.

Oczywiście minuta przeciągnęła się na prawie pół godziny, jednak po dotarciu na nasz jacht instalacja naprawionej części trwała niecałe piętnaście minut. Kędzior już trzymał rękę na starterze, by sprawdzić,

czy działa. Miarowy bulgot Yanmara spowodował uśmiech na twarzach całej załogi.

– Pięćdziesiąt euro – odezwał się mechanik, wyciągając umazaną smarem dłoń.

Zerknęliśmy na siebie porozumiewawczo z Kędziorem i bez słowa położyliśmy gotówkę na wyciągniętej dłoni. Gdy mechanik zniknął na pomoście, Kędzior rzucił z chytrym uśmieszkiem: – No to jesteśmy do przodu pięćdziesiąt euro.

W dobrych humorach zaczęliśmy przygotowywać jacht do wypłynięcia, gdy przed naszym trapem pojawił się drugi przedstawiciel warsztatu.

– Działa? – spytał bez wstępów.

– Działa – odpowiedziałem.

W tym momencie gość wyciągnął dłoń i stwierdził: – Sto euro.

Kędzior wyskoczył z pretensją: – Ale my płaciliśmy koledze!

– Kolega za wymianę, ja za naprawę – odparł bez ceregieli, nie opuszczając dłoni.

Co było robić. Wysupłaliśmy kolejną kasę, jednak tym razem już z mniejszym entuzjazmem.

– To kiedy mieliśmy według pierwotnego planu wypłynąć? – spytał Kędzior.

– Dziś o szesnastej – odparłem.

– Grunt to mieć dobry plan – rzucił Kędzior – i się go trzymać –
dodał z lekkim uśmiechem.

– Tylko jakoś jesteśmy lżejsi o sto pięćdziesiąt euro.

Warszawa 2020-02-02



Walilo chyba ze trzydzieści. Kilka motorówek próbowało zdobyć puchar za to, kto zrobi większą falę w marinie. Nie ma przeprosić, trzeba zaparkować. Tylko gdzie? Ciasno jak cholera. Niby gdzieś widać trochę miejsca, ale jak ma się zadek o szerokości prawie pięciu metrów, to trzeba nieco więcej niż trochę. Wreszcie wypatrzyłem. Przy odrobinie szczęścia może uda się wcisnąć w niewielką lukę pomiędzy trzydziestometrowym, motorowym potworem na wypasie a starym, zdezelowanym kutrem rybackim.

Pierwsze podejście „na przymiarke”. Czy na pewno da się wcisnąć? Na wielkiej, lśniącej górze plastiku wielkie poruszenie. Dwóch stewardów w granatowych mundurkach biegnie na dziób z dwoma obijaczami odpowiednio słusznej wielkości. Moje przy nich wyglądają jak koraliki portowej dziewczki. Robię drugie podejście, teraz już „na pewniaka”. Trochę mnie „kładzie” na olbrzyma, ale to normalne, tym bardziej że mam go od zawietrznej. Udaje się stanąć bez uszczerbków na żelkocie – tak moim, jak i jego. Jeden ze stewardów pokrzykuje coś po rosyjsku, ale już wiem, że nikt mnie

stąd nie przegoni. Pierwszą od czterech dni noc prześpię spokojnie „na sznurkach”.

Szybki klar, naciągnięcie cum i luz. Można stanąć na stałym lądzie. Sprawdzić, czy jeszcze dają tu dobrą kawę i zimnego Pana. Tak właściwie to żaden wyczyn. Do najbliższej knajpki mam z trapu coś koło sześciu kroków. Wieczorem poszukam dostępu do wody i prądu.

Sącząc bursztynowy, oszroniony napój bogów, rozglądałem się leniwie po marinie. Dopiero po chwili dostrzegłem, że na ławeczkę obok mojego jachtu przyszedł starszy pan, podpierając się własnoręcznie wystruganą laską. Usiadł powoli, z trudem. Kudłata, siwa broda i siwe, kędzierzawe włosy, wymykające się spod szyprówki, ewidentnie świadczyły o przeszłości sympatycznego staruszka.

Dlaczego sympatycznego? Bo tak to już jest, że jeszcze kogoś nie znasz, a już wiesz, że to albo gnida, albo swój chłop. Owszem, czasem można się pomylić, ale im dłużej żyję, tym stanowczo częściej wygrywam w tę grę.

Są ludzie, którzy lubią obserwować, ale są i tacy jak ja, których ciągnie do drugiego człowieka. Niewiele myśląc, kupiłem jeszcze dwie butelki trunku i ruszyłem w kierunku ławki.

– Oprosti, što mogu? – mój chorwacki jest lichy jak zbroja Don Kichota, ale przecież to Słowianie, jakoś się da dogadać.

– Molim vas, sjednite – ze szczerym uśmiechem pokazał mi miejsce obok siebie.

Nie mówiąc wiele, podałem mu otwartą butelkę. Powolutku, jakby w zwolnionym tempie, wyciągnął kościstą, spracowaną dłoń, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Tvoje zdravlje, prijatelju – powiedział i stuknęliśmy się zielonymi butelkami.

Trochę na migi, trochę po chorwacku, polsku, rosyjsku i diabli wiedzą jeszcze w jakim języku, staruszek opowiedział, że ten kuter stoi obok mojego jachtu to jego łódź. Nie trzeba było go namawiać, by zaczął opowiadać, jak to jeszcze był zdrowy i codziennie wypływał w morze. Ile to wtedy było ryb i jak ponad sześćdziesiąt lat temu sam ten kuter zbudował. Nie wiem, kiedy minęła godzina, i gdyby nie załoga, pewnie zapomniałbym o kolacji. Podziękowałem staruszkowi za opowieść i życzyłem zdrowia.

Gdy po kolacji ze szklanką rudej wyszedłem na dek, po staruszkowi i jego opowieści zostały tylko cztery puste butelki obok ławeczki. Zszedłem je wyrzucić, bo trochę głupio śmiecić, będąc w gościach. Wyrzucając butelki do kontenera, na chwilę się zawahałem. Niby zwykłe, zielone szkło, ale właściwie te butelki były jedyną pamiątką po staruszkowi i jego historii. Ostatecznie je wyrzuciłem, bo i tak sympatyczny rybak zostanie w mojej głowie na zawsze.

Wracając, spojrzałem na luksusowy jacht doprowadzony do błysku przez stewardów, ale jakoś nie miałem ochoty poznać ludzi, którzy nim pływali. Gdy siedziałem ze szklaneczką pod bimini, słońce z wolna nurkowało w horyzoncie, a ja zamyślony gapiałem się na kuter stojący obok. Po pięciu minutach przekonałem się, że znów wygrałem w „Zgadnij, kim jestem?”. Piętro wyżej, nad moim pokładem,

zaryczało kilka głośników pełnych niewybrednych dźwięków – bo muzyką bym tego nie nazwał.

Notka bio

Robert – programista rocznik 69, który myśli jak stolarz, żeglarz, który nie potrzebuje kapitańskich szlifów do szczęścia, i kronikarz ludzkich losów.

W życiu przeszedł ponad 5000 mil morskich i prawdopodobnie drugie tyle w linijkach kodu. Choć od dwóch dekad zakotwiczył w Warszawie, jego serce to mapa z wieloma pinezkami: od rodzinnego Podkarpacia, przez Lublin, Kraków i Londyn, aż po Rzeszów, gdzie zostawił kawał swojego życia.

Informatykę traktuje bez zbędnej czułości – to dla niego tylko „cyfrowy młotek”, którym rzemieślniczo rozwiązuje problemy klientów. Kiedy jednak odkłada narzędzia, rusza w drogę. Najchętniej do Chorwacji i Grecji lub na polskie bezdroża, ale zawsze z dala od turystycznego zgiełku. Nie szuka zabytków z folderów, lecz miejsc, gdzie „zwykły szary człowiek pozostawił ślad swego sandała”. To właśnie tam, poza utartym szlakiem, najlepiej karmi swoją nienasyconą ciekawość świata.

Lista jego pasji przypomina spis treści encyklopedii: od elektroniki, stolarstwa i fotografii, przez historię kosmosu i Kościoła, aż po pisanie piosenek i grę na gitarze. Z pasją socjologa obserwuje świat przez pryzmat spotkań z ludźmi, choć zachowuje przy tym zdrowy dystans. Gdy rzeczywistość go zawodzi, mruczy pod nosem swoje ulubione, przekorne: „Ludzie są brzydkie nie tylko z wyglądu”, po czym wraca do notatnika, by zimową porą zamienić te wszystkie obserwacje w literaturę.

Do zobaczenia na wodzie ...

Jeśli spodobała Ci się moja praca, możesz napisać do mnie na adres rwegrzyn@gmail.com, chętnie poczytam i dowiem się jak rezonuje moje słowo ...